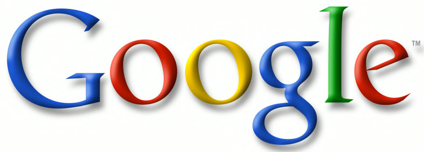






[illegible]
1903

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

Druk Piotra Laskauera i S-ki. Nowy-Świat 41

J. J. Kozłowski 1904.

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

Stanisław Wyspiański

STUDJUM LITERACKIE.



WARSZAWA
„BIBLIOTEKA SAMOKSZTAŁCENIA"
Nowy-Świat Nr. 37.
1903.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 12 Сентября 1903 года.

W lipcowe południe, pod złotym baldachimem słońca, śród kadzidlanej woni ziół, siedziałem w jednym z naszych najpyszniejszych parków polskich, czytając scenę litewską z „Legionu“ Stanisława Wyspiańskiego.

Doznałem dziwnego wstrząśnienia, owiała mnie poezja, królewskość, potęga; poczułem w sobie siłę do jakichś tytanich zapasów; poczułem się w epoce wielkiej poezji, ogromnych porywów, otoczyła mnie wielkość...

—Genjusz, żywy genjusz!—szepnąłem, drżąc ze wzruszenia.

I odtąd począłem pilnie studjować dzieła Wyspiańskiego. Studjowałem je rok. „Los, dola, wieczna krzywda człowieka“ nie dały mi ani jednego z tych dzieł oglądać na scenie. Ale wyobraźnia jest sceną najdoskonalszą. Ona wystawiła mi kolejno wszystkie dzieła Wyspiańskiego w swym imaginacyjnym teatrze. Widziałem je, mogę powiedzieć, widziałem! Rozegrały się przed oczyma duszy mojej te dzieła bez kulis i aktorów, bez sztucznych efektów i techniki teatralnej, bez urzeczywistnienia czasowego, przemijającego, ale w urzeczywistnieniu wieczystem, tak, jak powinny działać na duszę ludzką niezależnie od wszelkich mniej lub więcej doskonałych teatrów.

Był to szereg wizji. Wizje te przeniosły mnie w świat przepiękny, w świat nadprzyrodzony. Mózg ludzki wytwarza bowiem rzeczy, których niema w przyrodzie; on się nad tę przyrodę wznosi, on tworzy przyrodę piękna.

Wizje te dały mi szereg niezwykłych uniesień, więc dały mi szczęście. Zauważyłem niestety z bólem, że nie wszyscy podzielają moje zdanie. Badałem powody, czemu wszyscy zdania mego podzielać nie mogą; przekonałem się, że przyczyny istnieją i że są usprawiedliwione. Zapragnąłem tedy usunąć je. Nie zraziła mnie cała powódź artykułów, sprawozdań i rozpraw o Wyspiańskim. Znam dusze naszych czytelników; wiem, jak do nich przemawiać. Postanowiłem przemówić do nich o Wyspiańskim tak, jak dusze te zawsze zrozumieją. Sądziłem, że oddam usługę poezji i czytelnikom. Wiem, że taka praca ma bardzo przelotne znaczenie; będzie czytana, póki Wyspiański nie zostanie całkowicie zrozumiany i odczuty; a wtedy publiczność ją odłoży i zapomni o niej. Bo już nie będzie potrzebna. Ale takie jej zadanie i taki los z własnej mojej woli. Nie pragnę dla niej innego. Niech będzie tak zapomniana, jak praca Maurycego Mochnackiego, który Warszawie, drwiącej z „Marji“ Malczewskiego, arcydzieło to na wieki wieków zaszczepił.

Postanowiłem pisać nie dla publiczności galicyjskiej, która dzieła Wyspiańskiego oglądała na scenie, zna jego język i galerję jego postaci z teatru i z życia. Piszę dla tych, którzy z językiem jego w życiu się nie spotykają, ani też nie spotykają się w życiu z galerją jego postaci. Piszę dla tych, którzy nie z własnej winy Wyspiańskiego zrozumieć nie mogli, którzy nie mieli czasu i przygotowania do zrozumienia i odczucia tych dzieł, których imaginacja nie mogła się wydobyć z plątawy rzekomych neologizmów, albo połapać się w labiryncie zamarłych a przez poetę wskrzeszonych form archaistycznych. Chcę im także pokazać tę galerję żywych postaci, którą Wyspiański wprowadził do swego teatru, aby istniały w literaturze, a więc zawsze.

Takie ramy zakreślam pracy mojej, a od czytelnika chciałbym wyprosić nie znawstwa, nie bezwzględnej wiary, nie zachwytów lub potępień, ale szczypty dobrej woli

i uświadomienia, że skoro nie nastąpił koniec świata w r. 1849 t. j. w roku śmierci Słowackiego, ani w r. 1855 t. j. w roku śmierci Mickiewicza, ani w r. 1859 t. j. w roku śmierci Krasińskiego, to nie mógł także nastąpić koniec wielkiej poezji. Dopóki bowiem będzie istniał świat, będzie mogła istnieć wielka poezja. Skarbca twórczości naszej historja nie zamurowała w 1859 roku. Bogactwo nasze wzrasta. Poznajmy je, ukochajmy i uczcijmy.



Tak zwany modernizm przyszedł do nas z zachodu i przyszedł tak, jak ongi romantyzm. Przyszedł obcy kosmopolityczny, zbłąkany, oderwany od czasu i przestrzeni. Szukał, błądził, szedł, wracał, nie znalazł jeszcze swego człowieka. Dusze jałowe, nie mające wewnątrz siebie nic, żadnych ziarn, żadnych plemników, chwytały jego cechy czysto zewnętrzne i za pomocą literatury oraz malarstwa zamieniały na chwilowy rozgłos, na estetyczną awanturę, na popłatne dziwactwo. Chwila ta była w Warszawie bardzo znamienna i pobudziła mnie do niejednego szyderstwa. A szydzę zawsze, gdy widzę nieszczerość, gdy widzę oblaną łzami komedję, targowisko przybrane w szaty kapłaństwa.

Ale stan taki trwał krótko. Zajaśniało potężne malarstwo krakowskie, rozszalał się z pędzlem w ręku Mehoffer, Malczewski, Stanisławski i inni. W literaturze pojawia się szereg pisarzy, którzy wybiegają daleko ponad powszedniość. Aż wreszcie zabiera głos Stanisław Wyspiański.

Co inni zaczęli, zaznaczyli, zamierzyli, to on skupił, spotęgował, zogniskował w sobie. On modernizm w Polsce zaszczepiony wyhodował, polskim uczynił. Modernizm był mu tylko słońcem, przy którego twórczym blasku dobył z gleby ducha polskiego całe smugi zieleni, barwnych kwiatów, nowych drzew, nowych lat, nowych wiosen.

Każda nowa epoka wprowadza do literatury potoki nowego słownictwa i zastępy nowych postaci. To jej najrealniejszy dorobek. Tak wzbogacił literatury europejskie romantyzm, realizm, naturalizm; tak wzbogaca je „nowa sztuka", czyli: modernizm, czyli: sztuka duszy współczesnej.

Co pewien czas bowiem język literacki kostnieje. To, co było żywe za czasów romantycznych, staje się manjerą bezduszną w oczach poromantycznych. Ludzie widzą, myślą i czują już w nowy sposób a po staremu jeszcze wyrażaję swe widzenia, myśli, czucia. Powstaje tedy z jednej strony reakcja przeciw szablonowi, z drugiej strony, o ile istnieją w kraju talenty, dążenie do należytego wyrażenia tego nowego sposobu widzenia, czucia i myślenia. Tak naturalizm skierował gwary do wielkiej rzeki słownictwa literackiego, dał im prawo obywatelstwa, wzbogacił mowę, zaludnił powieści i dramaty nowemi postaciami. Tak postępuje u nas w chwili obecnej modernizm.

I to jest owego modernizmu zasługa konkretna, sprawdzalna, powiedzmy: zasługa materjalna. Na harfę języka naszego naciąga nowe struny; grając na tych strunach, urabia ich dźwięk, uszlachetnia je. Do galerji stałych figur wprowadza nowe—a więc — wprowadza nowe dusze, nowe serca, nowe umysły; zatem wzbogaca nasze obserwacje, pogłębia nasze uczucia, wprowadza rozmaitość do naszych myśli.

To są zasługi namacalne, zasługi znaczenia wysoce kulturalnego; one zostaną, choćby nawet miała kiedyś przebrzmieć „nowa sztuka".

Z tego dorobku będą korzystały jakieś przyszłe, nieprzewidziane dziś kierunki w literaturze.

My, ludzie tutejsi, nie umiemy tego należycie ocenić. Warszawa odcina nas murem od wsi, wieś odcina się płotem swoim od Warszawy. W Warszawie inteligencja odcina się progiem swego salonu od prostactwa; prostactwo w Warszawie odcina się kastą swoją od salonu. Studnią

języka naszego jest słownik, powieść Sienkiewicza, gramatyka. Czego niema w słowniku, w powieści Sienkiewicza, w gramatyce, to według nas niema prawa do bytu.

Inaczej w Galicji. Tam rok rocznie z najniższych warstw ludności napływa armja dzieci wiejskich i miejskich do szkółek, szkół, ludowych, normalnych, męzkich, żeńskich, mieszanych, niższych, średnich, wyższych, do gimnazjów, szkół realnych, seminarjów nauczycielskich, duchownych, do wszechnic, politechniki. Na tych młynach cywilizacyjnych przerabia się ten tłum nowych dusz, nowych serc, nowych umysłów i zalewa następnie wsie, miasta, urzędy, redakcje, instytucje artystyczne, literackie, naukowe, przemysłowe, handlowe, społeczne, wchodzi do sejmu, parlamentu. Młyny cywilizacyjne nie opłukały z nich rudy językowej, nie zmieniły z gruntu ich dusz, nie wynaturzyły ich; pozostają w znacznej części sobą, muszą pozostać, gdyż tworzą kategorję „ludzi nowych", kategorję coraz liczniejszą, biorącą udział w życiu i wybijającą się coraz bardziej naprzód a naprzód. Tem się też tłomaczy, że publiczność warszawska bardzo często uważa za „sztuczne" u Wyspiańskiego to, co jest „naturalne", co jest wprost nieznaną Warszawie „przyrodą polską". Pod tym względem Galicja - nędzarka żywem życiem swojem wyprzedza nas.

Za tem „żywem życiem" postępuje krok w krok galicyjski modernizm, gdy Warszawa trupieszeje w „konwencjonaliźmie". Nie łudźmy się. To tak jest. Im prędzej to sobie uświadomimy, tem lepiej dla nas, gdyż tem skorzej zerwiemy z rutyną.

Warszawa nieraz wprost nie rozumie Wyspiańskiego, bo nie rozumie gwar galicyjskich. Przytoczę charakterystyczny wiersz z „Wesela":

Ani zbili pan w koronie,
że stoimy gdzieś na szczerbie,
ani zbili szlachta w herbie,
ani zbili chłop przy pługu,
czy tam kogo gdzie co boli,

wół przy roli, świnia w ganku,—
hulajże panie kochanku!

Wyrażenie „zbili“ a raczej „zbyli“ znaczy: nie pomyśli, nie zważy. „Ani zważy pan w koronie, ani szlachcic herbowy, ani chłop“—etc.

To pod względem językowym. A pod względem społecznym Warszawa nie wyobraża sobie, że przed zwyczajną karczmą wiejską może siedzieć córka arendarska, mając włosy w półkole „jak włoscy w obrazach anieli“, i z rozpłonionemi policzkami rozczytywać się w Przybyszewskim...

Narodził się nowy świat.



Warszawa jest nawskroś tendencyjna. Ale czy tendencje te płyną z żywych źródeł? Tendencje te są szanownemi cieniami dawno zmarłych nieboszczyków. Istnieje cały kanon tendencji; nawet porządek i ich kolejność jest ustalona.

Istnieje walka o tendencję i reakcja przeciw niej. Nie rozumiem tej walki. Nie rozumiem tendencji. Albo jest nią wszystko, albo nic.

Albo tendencja jest wolą autora, by przekonać czytelnika, natchnąć go, porwać—a wtedy tandencyjnym będzie każdy liryk, tłomaczący nam, że jego Beatrycza jest najpiękniejszą kobietą na świecie; albo też w dziełach dobrych niema wogóle tendencji, tylko prawdziwe fakty i prawdziwe uczucia. Prawda tego rodzaju zupełnie wystarcza; nieraz jednak jest ona przykra dla kół wsteczniczych, koła te chciałyby ją ukryć a odnośne dzieła piętnują mianem tendencyjnych. Zauważyć jednak trzeba, że posiadamy zarówno dzieła antyszlacheckie jak filoszlacheckie, antykonserwatywne i filokonserwatywne; ale są to poprostu dzieła złe. „Tkacze“ Hauptmana nie mają w sobie szczypty tendencji, zawierają tylko prawdę, może dla niektórych ludzi nieprzyjemną. Nie znam natomiast bardziej kapiących od

tendencji prac nad powieści znanego konserwatysty Teodora Jeske-Choińskiego.

Z tego tedy stanowiska rzecz rozważając możemy powiedzieć, że Wyspiański nie ogląda się zupełnie na kanon naszych tendencji.

Ma on w sobie jakieś żywe źródło, z którego bije ustawicznie myśl i uczucie, z którego bije to, co jedni nazwą tendencją a drudzy tylko—prawdą.

Ale by jako artysta coś powiedzieć, by jako człowiek oddziałać na człowieka, by zapanować nad pokoleniem współczesnem, trzeba wzmóc swoje środki artystyczne. „Ideen hat jeder Esel" powiada niemieckie przysłowie. Dla ludzkości tylko ta idea przedstawia wartość, która się przyobleka w konkretny czyn.

A literatura—to czyn. Czyn ten może być niedołężny, choć idea szczytna. Oto wierszowany dowód:

W zielonej altaneczce
Siadł panicz przy panieneczce,
Spleceni uściskiem zapomnieli o świecie.

Idea szczytna, ale tylko skompromitowana przez niedołężny wyraz literacki.

Myśl konwencjonalna. Młodość ma prawo zapomnieć w uścisku miłosnym o wszystkich niedolach świata. Społeczność, która nie uszanuje uczucia indywidualnego i będzie mu twardą macochą, doczeka się prędzej czy pózniej że to uczucie zbuntuje się przeciwko niej. Ono ma takie same prawa do życia, jak sama społeczność. A gdy społeczność je uczci, o! wtedy ono przez wdzięczność nieraz zaprze się siebie i każe Kartaginkom obcinać swe włosy, a pleść z nich liny okrętowe do walki z Rzymem!

Nim pomówię, jak to Wyspiański gromadził środki artystyczne i kształcił swoją wyobraźnię, chce jeszcze dać obraz środowiska, z którego wyszedł.

Chcę przedstawić kolebkę jego myśli, jego uczuć, jego wzlotów.

Kolebką tą jest Kraków.



Warszawa to miasto współczesnego życia, handlu, uciechy, szału towarzyskiego, wesołego śmiechu, barwnych potoków publiczności, nędzy podmiejskiej, śpiewki hulaszczej i humoru andrusa. Warszawa to zbiorowisko modnych, tandetnych domów. Warszawa ma domy stare, ale ani jednego „starożytnego". Trochę tej niedawnej starożytności jest na Starem Mieście. Ale modna Warszawa ucieka od jego zapowietrzonych ulic. Więc Warszawa niema żadnych tradycji? Czy w nocy wspomnień nie błyska żadna gwiazda? Czy różne ulice nie opowiadają tu nikomu swoich epopei? A okolice Warszawy? Tak, ale,—

Ale, ale—

Ale — —

W tej chwili piszemy o modernizmie. Już dotarliśmy do zapowietrzonych ulic Starego Miasta. Tak, modna Warszawa, decydująca o sztuce i poezji Warszawa, ucieka stąd. A Kraków?

Kraków to wedle słów poety: „gród martwych ludzi a żywych kamieni". Gdyby dziś ludność tak uszła z Krakowa, jak przed sześćdziesięciu laty z krymskiego Czufùt-Kalè, możnaby Kraków cały nakryć jednym kloszem i byłby to klejnot archeologiczny.

Ale krakowskie „kamienie" żyją! Każda kamienica będzie nocami opowiadała swe tajemnice różnym Kremerom, każdy dzwon ma osobną historję, każda brama swój styl. Kraków to wielki starzec, ze swoim tronem Wawelem, ze swoją córą Wisłą, ze swoim widnokręgiem, na którym się mgławią sine szkarpy poszarpanych Tatr.

Olbrzymia architektura, olbrzymia dekoracja, żywa przyroda i—wielkie tradycje.

Tu kiedyś niby udzielny książe panował Matejko. Dano mu nawet do ręki berło. On snuł z siebie królewskość, monarszy aż do barbarzyństwa, tytan samodzielny a w końcu despota.

Całe życie zagarnąć chciał dla siebie. Z tęcz sześciobarwnych poczynił pętle, by młode duchy powlec za sobą. I one szły, szły za nim niewolniczo, tracąc oryginalność, tracąc duszę.

Aż wreszcie zbuntowały się przeciw tytanowi. Wybiegły z tych krzyczących przeszłością murów na pola, na góry, na słońce, na wiosnę. „Kłótnia huculów" była może pierwszym manifestem ich niezależności.

Matejko pozostał tytanem, pozostał królem, pozostał ukochaniem narodu. Ale obok niego zaczęły wyrastać nowe bohaterskie dusze, nowe życie jęło się plenić bujnie, rozgrzmiały nowe hasła. „Przeszłość" została odmalowana, przyszła kolej na „teraźniejszość".

I powstał nowy okres, który niesłychanie wiele uczynił dla sztuki. Ale te wartkie dusze nie poprzestały na teraźniejszości; zaczęły rwać się w „przyszłość".

Na to wszystko patrzył Wyspiański, patrzył i kształcił się. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość poczęły się w nim zlewać w jedną—wieczność.

To dał Kraków jego fantazji.

A co dał jego mowie?

Kraków leży w szczególnem położeniu pod względem bogactwa gwar. Na miejscu pyszna gwara krakowska. Pod Tarnowem wspaniała gwara mazurska, z której powstała „Klątwa". A tam niedaleko gwara górnoszlązka, która po oczyszczeniu z naleciałości niemieckich da cudny, starożytny język epoki złotego wieku. Czwartą dzielnicą językową jest — bibljoteka jagiellońska; tam zam-

knięty język wszystkich wieków, odkąd było pisane polskie słowo.

To dał Kraków Wyspiańskiemu pod względem językowym.

A co dał jeszcze? Dał mu scenę!

Kiedy w Warszawie nowa sztuka zyskuje miano „rui i porubstwa“, kiedy nowych autorów prawie się nie wystawia, kiedy aktorowie otwarcie się przyznają, że nie rozumieją „nowej sztuki“, natomiast piszą na nią paszkwile i te paszkwile wystawiają, jak to miało miejsce z sławetnym paszkwilem Palińskiego „W odmęcie“—Kraków dał Wyspiańskiemu scenę, dał ją, dał wprawdzie:

„dwadzieścia kroków wszerz i wzdłuż . . .“

jak ironizuje poeta w „Wyzwoleniu“, ale to już rzecz jego, jakiemi wizjami zaludni te dwadzieścia kroków kwadratowych.

Kraków dał scenę literackiej młodzieży, dał jej wypowiedzieć się, dał jej żyć.

Kiedy krytyka warszawska zajmowała się spędzaniem płodu dramatycznego a publiczność nie umiała wyrość ponad krytykę, w Krakowie krytyka na publiczność wpływu nie miała, tam publiczność decydowała sama, rozumnie, czy głupio, wszystko jedno, ale nie w imię ubocznych interesów różnych „familji“.

To dał Kraków Wyspiańskiemu.

A co dał mu Wyspiański wzamian?

Dał mu szczerze, w całości, bez oszlifowań, bez tendencyjnych przetopień, bez sztucznej stylizacji, dał mu swój—żywy genjusz — dał mu — żywe płody tego swego genjuszu.

Ale nim przemówił, nim przemówił jak grom w chmurach, zbierał pierwej w sobie zapasy tych iskier elektrycznych, kształcił swoją wyobraźnię, kształcił ją słowem i pędzlem.



Oto szereg tych nadzwyczajnych prób kształcenia swej imaginacji.

Mamy skromny, podłużny rysunek z podpisem „Fontanna“.

U wylotu strumienia wodnęgo skłębiona postać kobieca, naga, wodna, silna a zadumana, bo czoło oparła na ręku. Nad nią wielki wytrysk wodny, zaludniony przewalającemi się postaciami, które, ledwie wzbiły się do szczytu, już bezwładnie ku ziemi opadają.

Tak Wyspiański chciał przedstawić DUSZĘ WODY.

Inny rysunek. Podpis: „Płomienie“.

Kilka drewek na krzyż ułożonych, z nich dobywają się płomienie i zamieniają na szereg postaci o oczach niebezpiecznie spokojnych, czerwonych, złych, jakby syczących, patrzących dokoła, co podołałyby zniszczyć.

Tak Wyspiański chciał przedstawić DUSZĘ OGNIA.

Albo inny rysunek. Podpis: „Szatany“.

Trzy demoniczne postaci, siedzące jedna nad drugą. Tak by je pojął Milton, tak Michał Anioł. Są one bezwłose, na czołach ledwie widzialne różki. Spokojne, rozmyślające. Tak, wszystkie rozmyślają, jakie zło wyrządzić światu. Jeden szatan podparł pięścią twarz i myśli. Drugi szatan podparł czoło ręką i myśli, Trzeci położył wskazujący palec na zamknięte oko i myśli.

Tak Wyspiański chciał przedstawić DUSZĘ ZŁA.

Albo inny jeszcze rysunek.

Podpis: „Duchy bohaterów“.

Nad czarnemi, przejrzystemi wodami unosi się szereg okropnych ciał, ściętych straszliwym skurczem zgonu. Poprzebijane włóczniami; oblicza skrzywione, usta puste po ostatnim okrzyku męki. Tak ciała te legły w bohaterskiej śmierci. Przywykliśmy widzieć bohaterów już na piedestałach pomnikowych, już w glorji wieków, już obmytych z kurzawy bojowej, z posoki, już przybranych w togi nieśmiertelności. Ale pomnik to nie bohater, to już apoteoza bohatera. Bohaterstwo narodziło się tam, podczas żniwa

śmierci, w chwili okropnego zgonu, ono tam leży niepogrzebane na pobojowisku.

Tak pojął Wyspiański DUSZĘ BOHATERSTWA.

On widzi na swój sposób, myśli i czuje na swój sposób, wyraża na swój sposób.

Kiedy wszyscy poeci nasi rozkochali się w ozdobach wiosny, w niewinnych fijołkach, ponętnych różach, dziewiczych liljach, mistycznych irysach, on, tragik, wziął zwyczajny oset polski i począł go rysować.

Ten oset, ten chwast, nabrał pod jego ołówkiem cech tak tragicznych, tak potężnych, że zblakły przy nim wszystkie róże, spowszedniały lilje i zgłupiały irysy. Groza wieje z tych rozpościerających się ostów, któremi zapełnił zarówno książki swoje, jak i książki swoich przyjaciół.

Tego wszystkiego nie piszę o Wyspiańskim jako malarzu. To należy do okresu rozwoju jego imaginacji i środków artystycznych w ogóle.

Bo inaczej musiałbym mówić, jak królewskiemi szatami malarstwa przybrał starożytne kościoły, jak dźwignął Matejkowski szkielet Kazimierza Wielkiego, ustawił prosto, okolił płaszczem królewskim, na czaszkę włożył koronę, jak sprawił, że ze szkieletu bije wielkość i takie życie wieczyste, że ten witraż staje się niemal symbolem tryumfu sztuki nad śmiercią.

Bo musiałbym mówić o gigantycznej postaci Stanisława Szczepanowskiego w innym witrażu, bo musiałbym mówić o witrażu, przedstawiającym Henryka Pobożnego, w którego postaci szaleją całe Średnie Wieki w konwulsji ekstazy, kajania się i oczekiwania „dnia sądnego".

Bo musiałbym mówić o tych wszystkich główkach, o tych wszystkich twarzyczkach dziecin polskich, bladych jak opłatki, bezsłonecznych, choć na słońcu żyjących; o tych rękach, z których każda jest fragmentem epopei...

A mówić mam przecie o Wyspiańskim jako naszym nadzwyczajnym dramaturgu, który już zapanował nad po-

koleniem, którego, „miałeś chamie złoty róg", już rzucają sobie do oczu posłowie sejmowi...



Pierwsze dzieło, to—„Legenda".

Legenda o Krakusie i Wandzie, stara legenda, spowszedniała, spłowiała. Cały jej ludowy materjał da się zamknąć w kilkunastu słowach.

Do tej legendy zamierzchłej podszepcze chyba coś poecie Jama Smocza, albo dwie Mogiły. Zresztą wszystko przepadło.

A jednak legenda ta musiała opierać się na potężnych zdarzeniach, które pchnęły rydwan dziejów w jakimś decydującym kierunku. Z tej legendy pozostały popioły, które napróżno sentymentalizm starał się ożywić.

Sentymentalizm ten robił z Kraka — Krakusa, powiedzmy—niemal—Krakowiaczka... A co uczynił z Wandy? Krakowiaczkę Wandeczkę, która nie chciała Niemca...

Ale Wyspiański wiedział, że nie był pstrym Krakowiaczkiem ten, któremu lud usypał mogiłę. Wiedział, że nie mogła być Wandeczką księżycową boginką ta, którą lud również mogiłą uczcił.

I nic Wyspiańskiego nie obchodzi słoworód.. Wanda? Undyna? Wenda? Vistula? Vandalus? On wie, że tkwiące w legendzie piękno jest prawdziwszem i pewniejszem od wysiłku naukowego nad zagadnieniem tak wątpliwem. Potężna jego wyobraźnia zaklęła tajnie przeszłości i dobyła z nich, jeżeli nie prawdę, to niesłychane prawdopodobieństwo, które odrazu przekonywa.

Więc w prastarym borze na górze Wawel stoi drewniany dworzec króla Kraka. Dokoła ogniska kupią się

sędziwe woje, rozmawiające jakimś zamierzchłym językiem; w powale ogromny otwór dla uchodzącego dymu; widać przez niego noc i gwiazdy.

A na skórach leży stary, umierający Krak. Już mu się wiele nie należy. Siadł koło niego siwowłosy Śmiech, baje mu o wszechznikomości. A Krakowi śmierć ciężka, bo niemieccy rycerze niepokoją jego ziemie.

Od pierwszych słów godzimy się na takie pojęcie tematu, porywa nas dawność, widzimy wszystko tak, widzimy tych wojów, to ognisko, ten otwór w powale, cały ten drewniany dworzec.

Od pierwszych słów czujemy, że mowy tych wojów tchną niesłychaną prawdą, że to chyba tak było, że Wyspiański odnosi tryumf nad Legendą ludową, że teraz jego Legenda panować będzie w naszych umysłach.

Rozegra się bój śmiertelny a odwieczny, do dziś dnia nie zakończony. W boju tym przewodniczyć będzie bohaterska Wanda; gdy jej rodzic już bronią nie władnie.

A potem Legnie Krak-olbrzym na dnie Wisły, skamieniały, śród plątawy wodorostów. Przepływające bogiunki będą go twożliwie opływały, aż na brzegu stanie Wanda z hufem rycerzy...

Dzieło piękne, choć czuć jeszcze obce wpływy. Czuć przedewszystkiem wpływ największego modernisty, czuć Wagnera. Przypomni się może „Złoto Renu". Ale już pozostanie w uchu owa śpiewka wiślana, z tym akcentem na ostatniej zgłosce:

„Halò, halò wiślana falò..."

Na dziele tem widnieją dwie daty: 1892 i 1897, oraz dwie miejscowości tworzenia; Paryż — Kraków. To mówi wiele. To jeszcze wciąż okres kształcenia imaginacji.

Nastąpiły dwa dramaty historyczne z czasów znacznie bliższych. Pierwszy „Lelewel", drugi „Warszawianka".

Czy historyczne? Czy ton czasów istotnie uchwycony?

„Lelewel“ jest utworem słabym. Słabym w porównaniu z tem, co Wyspiański napisał przedtem lub potem. Jest to jakiś wyrywek, ot, kartka z dziejów, kartka nam droga, pełno znajomych postaci; ale te czasy miały chwile tragiczniejsze, potężniejsze, poetyczniejsze. Lelewel jest zaledwie podmalowany, choć rysy zasadnicze są prawdziwe. Ale nie znajduję w tym utworze tej nadzwyczajnej poezji, nie znajduję nawet tego „stylu“ Wyspiańskiego. Gdyby nie bezwzględny pewnik, możnaby niemal mniemać, że to apokryf... Ale—pozwólmy autorom wielkim pisywać od czasu do czasu rzeczy słabe. Słabe rzeczy pisywał Bethowen, Goethe. Jeden tylko nie napisał nigdy nic słabego a może spalił? Tak, jeden. Jest nim – Szopen. Spalił? Tak. Kazał przed śmiercią rzucić do ognia zwitek rękopisów, mówiąc: „Jestem to winien wam i - sobie“. Rzecz charakterystyczna, że Wyspiański pomimo propozycji z różnych stron nie chce zrobić drugiego wydania „Lelewela“.

Od tych dramatów polskich zwraca się nagle Wyspiański do tragedji greckiej. Czuć, że chce sięgnąć do jakiegoś praźródła, z którego czerpała Europa.

Szuka tragiczności, szuka potężnego Fatum do jakiejś przyszłej „Klątwy“. Szuka scenicznego rysunku bohaterów, gdyż niebawem chłop polski ma u niego przemawiać jak grecki heros.

Szuka wielkiej powagi tragicznej, szuka poezji tak potężnej, aby się jej żadne serce nie oparło.

„Meleager“ jest owocem tych szukań. To już zupełnie skończone dzieło. Jeszcze dramaty polskie mogą na nas działać samym tematem. Tu już nie. A Wyspiański chce być pewnym swej siły, bo kiedyś powróci znowu do tematów swojskich, a wtedy będzie mu potrzebna potęga nadzwyczajna. Będzie chciał bowiem nie opierać się na temacie, ale dźwignąć temat.

Tak, dramat grecki. Ale czyż istotnie grecki? Co

jest w nim greckiego? Dawność. A czemu nas ta dawność bierze? Bo w niej są uczucia dzisiejsze.

A może pożądanie takich uczuć? Sen o jakiemś bohaterstwie śród owej szarej powszedniości?

Bo to jęknie niebawem w „Weselu", jęknie ta tęsknota bezmierna, doprowadzona niemal do szaleństwa. „Protesilas i Laodamia" to ta sama dawność przy dzisiejszych uczuciach i tęsknotach.

Ale—nim o tych greckich dramatach pomówimy, zastanówmy się nad tem, bo może pora właściwa, jak Wyspiański w ogóle pojmuje dramat?

Znamy jego historję. Był grecki, posągowy, którego teorję nawet podał Arystoteles. To, co nas doszło, tchnie wielkością, tchnie poezją. Nawet komedja grecka śród najdziwaczniejszej satyry pieni się od poezji. Weźmy naprzykład „Żaby" Arystofanesa. Charon wiezie cienie przez wody podziemia, a chóry żabie rechocą śpiew czyscowy: „Brekekekeks koaks, koaks... Brekekeks koaks, koaks..."

Takby pisał Wagner.

Ale dramat grecki umarł razem z antyczną Helladą. Umarł; bo to, co pozostało po nim w bibljotekach, to, jak słusznie Goethe powiada, „szata tylko".

My już dziś nie w stanie zrozumieć potęgi dramatu greckiego. Nie odczuwamy owej niesłychanej grozy, gdy w scenie ostatniej grzmiał głos boga wyrokiem...

Dusza grecka uleciała z dramatu greckiego. Pozostało to, co zabalsamowały bibljoteki.

Ale rodzi się dramat Szekspirowski. Ma dwadzieścia osiem aktów; materjałem fabulistycznym dorównywa epopei. Bohaterowie już nie są posągami, już są ludźmi. Aktorzy wszędzie mogą grać, byle gdzieś dało się przybić deseczkę z napisem „Las" albo „Sala tronowa".

Dramat trwa sześć, siedm, ośm godzin; grany jest w dzień. Fatum przenosi się do duszy ludzkiej i przemienia się w psycho-demonizm. Ale niebawem dramat Szekspirowski poczyna, jeżeli nie umierać, to ciężko chorować.

Powstaje bowiem nowoczesny typ „gmachu teatralnego“. Rodzi się dekoracja, zasłona, której już próbowali Rzymianie. U Szekspira niema zasłony. Tam po każdej scenie „wszyscy wychodzą“.

Tak, rodzi się dekoracja, powstaje zasłona, kulisy, kinkiety. Ale jakiś obłęd, jakiś daltonizm czyta fałszywie Arystotelesa i „postrzeżania“ jego zamienia na „reguły“; w dodatku wkłada Arystotelesowi w usta regułę o jedności miejsca. Czytajcie jego „poetykę“, przecież przetłomaczył ją Stanisław Siedlecki. Czytajcie choćby rozdział V!

To ciężkie jarzmo reguły wytrzymują tylko najgenjalniejsi, wytrzymuje przedewszystkiem Molier. U nas nie ugina się pod niem Fredro, choć niekiedy zrzuca je.

Ale to przemija. Lessing każe nawracać do Szekspira. Ukazuje się Szekspir z dekoracjami.

Ba, ale tu nowa trudność. Jak tu w ciągu trzech lub czterech godzin wieczornego przedstawienia odegrać „z dekoracjami“ to, co bez dekoracji trwało sześć lub siedm godzin?

Technika tearalna robi niesłychane wysiłki. Dozwala autorom najwyżej pięć lub sześć zmian. Rosną bowiem wymagania publiczności; ona chce dekoracji, kostjumów, żąda obrazu. Autorom poczyna być ciasno.

Powstaje francuska komedja salonowa XIX-go wieku. Ona ratuje rzekomo sytuację. Jest to sztuka burżuazyjna, ale jest! Ach, jak męczy się w tym nowym gmachu teatralnym stary Willy!

Maszyny windują nieboszczyków z pod ziemi; albo przepuszczają ich ściany gumowe.

Nagle rodzi się elektryczność i przeobraża technikę. Co robiły dźwigacze, to teraz robi reflektor. Duchy pojawiają się i znikają istotnie - jak duchy.

Ostatni wyraz elektryczności, zastosowanej do teatru, to „Jagusia“ (Hannele) Hauptmana. (Nie „Hanusia“, imię źle przetłomaczono!)

Ale ta ciasnota aktów!

Nagle niepotrzeba ich wcale!

Jeden, dwa, trzy—wystarczą zupełnie. Jakto? Akcja przenosi się z zewnątrz człowieka do jego wnętrza. Pocznie Maeterlinck pisać swe dzieła w jednej tylko odsłonie i nie będzie mu ciasno. Hauptman przerwie pauzą swoją „Jagusię“ tylko chyba ze względu na zmęczenie aktorów. Wyspiański rzuci wprawdzie w „Legionie“ dwanaście scen, ale zwykle dość mu jednej, będzie pisał w dwóch, najwyżej w trzech odsłonach.

I zmieni się pogląd na „prawdę sceniczną“. Umilkną kłótnie o to, czy opera ma rację bytu, czy nie, bo „przecież ludzie w życiu nie śpiewają“. Ba, w życiu! Poco ma być tak jak w życiu! W życiu lwy nie rozprawiają z osłami, nie rozprawiają w ogóle; arja nie jest prawdziwa ze względu na „zdarzenie“, ale bajecznie prawdziwa ze względu na „uczucia“ towarzyszące zdarzeniu.

Zresztą to wszystko sztuka a nie życie, to poezja a nie życie. Wszelka poezja jest jakąś ugodą pomiędzy poetą a słuchaczem. Dziecko bierze kawał patyka i wmawia w siebie, że to konik. Chiński aktor żegna na scenie narzeczoną i jedzie na wojnę; następnie obraca się w drugą stronę i powiada krótko: już jestem na wojnie. A publiczność mu wierzy, bo chodzi jej tylko o to: co dalej.

Nie wierzę w djabła i nie lękam się go. Ale wiem, że wierzą inni i że się go bardzo lękają. Więc gdy mi poeta ten lęk przedstawi, będę przejęty.

Nie wierzę w to, w co wierzy Jagusia Hauptmanowska, ale wierzę w jej cierpienia i w jej psychologję. Drżę tedy z przejęcia na tej sztuce, byle mi ją dobrze zagrano.

Nie wierzę, by jakiś wiecheć słomy ożył, poczynał sobie jak człowiek i stał się nawet starostą weselnym. Ale wierzę, że społeczność moja nieraz słucha idei, wartej wiechcia słomy. Przeto Wyspiański może wstrząsnąć całem mojem jestestwem, gdy mi rzuci do izbicy weselnej całą społeczność i każe jej tańczyć w takt jakiegoś Chochoła.

Więc dramat nowy — to niejakieś nowe reguły, nie nowa technika teatralna, ale genjusz, który stworzył nową poezję sceniczną, dobrał się do nowych pokładów duszy ludzkiej, który nie miota lud wichrami zewnętrznej fabuły, ale odwraca człowieka podszewką na wierzch, ale wnętrze jego czyni zewnętrzem, ale ukazuje, jak człowiek z siebie wyprowadził cały okalający go świat, który go zdepce.

I to mimo całej wulkaniczności nie romantyzm. Bo modernizm skorzystał ze wszystkiego. Skorzystał ze zdobyczy romantyzmu, realizmu, nawet, i to bardzo, z naturalizmu, choć jest jego wrogiem.

A jedną z potęg jego to symbolizm.

Cóż to jest symbolizm?

Wyjdźmy z alegorji.

Alegorja bierze pojęcie oderwane i ożywia je. Wprowadza np. Patryotyzm urzędowy, każe mu deklamować to wszystko, co do patryotyzmu urzędowego należy. Symbolizm powiada, że taki patryotyzm urzędowy, to wiecheć. Wprowadza tedy na scenę Wiecheć, każe mu przygrywać na skrzypeczkach i straszyć „miałeś chamie złoty róg, ostał ci się tylko sznur"... A wszystkie ludzkie mumje tańczą w takt tego Wiechcia. Nie rozumiemy, ale rzecz bierze nas niesłychanie, niepokoi, wracamy do domu, ach, nagle...

Tak, zrozumieliśmy symbol.

Wyspiański jest we wszystkich dziełach swoich symbolistą. Każdy jego dramat jest jednym wielkim symbo-

lem czegoś, co się wśród nas dzieje, co nas boli, raduje, draźni, tęskni, cni, co marzymy, za czem wybiegamy w przyszłość...

A ponieważ Wyspiański jest myślicielem, przeto symbole jego są nadzwyczaj głębokie.

Tak wyobrażam sobie genezę teatru Wyspiańskiego.



„Oineus, król Kalydonu, pominął Dianę w ofiarach; i Diana przeto zawrzała gniewem słusznym. Naszedł tę posiadłość dzik potworny, przed którego żarłocznością wszystko ucieka. Na odległą okolicę spokój zamącony; zboża spustoszone i stratowane; trzody ostać się nie mogą na pastwiskach; ucieka ktobądź w odległe strony; opustoszenie zupełne zagraża wsiom najbliższym.

„Ale miasto Dianę przebłagać ofiarami, syn królewski, Meleager, ośmielił się młodzieńczych swych porywów użyć na zagrodzenie bożej kary; poszedł upolować dzika w gęstym lesie. Czyn więc bezbożny jest i nie należy się spodziewać dobrego wyniku łowów.

„Towarzyszy mu miłość dziewczyny, która stawa pod szczególniejszą opieką Diany, srebrnem światłem świecącej; wiem zaś Atalantę w łaskach u bogini już dla dziewictwa wdzięków, też i biegłości zręcznej w ulubionej przez boginię przyjemnostce.

„Zaś towarzyszą im: Tezej niezwyciężony, Jazon przesławny, Kastor z Polluxem bratem, Laert, Pirithoj, Toxej i Plexip".

Nad Akropolisem wschodzi Diany sierp świetlisty. Niepokój ogarnia Altheę, królowę, matkę Meleagrową. Bo powtórzył się sen, który miała przed dwudziestu laty, gdy złożono syna do kolebki rzeźbionej.

Oto Parki stanęły przed śpiącą, mówiąc: że dziecię nie będzie żyć dłużej, niż głownia żarzyć się będzie...

Althea wtedy zbudziła się z krzykiem, porwała głownię i zanużyła w kruż świeżej źródlanej wody pełny.

I odtąd w kosztownej skrzyni przechowuje głownię, strzeże skrzyni sama, każe ją wszędzie nosić za sobą.

Dziś sen ten okropny się znowu powtórzył. A powtórzył się właśnie w chwili, kiedy jest głęboko urażona na syna.

Bo oto kocha się w nienawistnej dla niej Atalancie. Więc podmówiła braci swych Toxeja i Plexipa, a wujów syna, aby dziewczynę zbeszcześcili, gdyż zazdrości myśliwskiej sławy bohaterom. Tak, podburzyła przeciw Atalancie braci, a Toxejowi nawet zatrutych pęk strzał wsypała w kołczan.

Świeci sierp Diany, stoi ołtarz - głaz, siadł w pobliżu starczy Oineus i niespokojna matka Althea, otaczają ich domownicy — a tam w borze rozgrywa się tajemnicza burza.

I lecą posły. Dzik powalony! Któż go powalił? Meleager? Tezej? Jazon? Nie, dziewka powaliła, Atalanta!

Gniew szarpnął sercem Althei.

Lecą nowe posły. Nieszczęście! Na łowach polegli Toxej i Plexip!

Już ich tam niosą na noszach. Kto ich zabił? Polegli bowiem od oszczepów...

Kto ich zabił?

Furjo, kłąb wężów nosząca w koronie, weź Altheę, matkę, za ręce! Niech cienie poległych braci, co wloką się w mroczną głąb Hadesu, przywoła i nasyci posoką zabójców...

Kto zabił jej braci? Nie macie odwagi powiedzieć? Czy Tezej niezwyciężony?

Nie! Tezej odjechał w tej chwili, miotając obelgi: „Niech Zews nie wszystkie ciosy mierzy w głowę Oineusa; niechajby go oszczędzał, litością zdjęty; ja muszę się od-

dalić, żebym nie był świadkiem Zewsowych wrogów, a nie bluźnił współczując...“

Więc nie Tezej. A Jazon przesławny?

On, uniesiony gniewem, grożącą dłoń wzniósł w niebo i wymieniał nazwiska rodziny królewskiej...

Więc nie Jazon. A Laert?

Odjechał i tylko ręką uczynił gest, jakby chciał wstrzymać gniew bogów, lecący piorunem w pałac ojca Meleagrowego...

Więc nie Jazon. A Kastor i Pollux, dwaj bracia zwadliwi?

I oni odjechali błagając niebo, by zawiesiło grom wymierzony w głowę starego króla...

A wreszcie i nie Pirithoj...

Więc—syn, syn—Meleager??

Zabił dla tej dziewki? Wujów rodzonych zabił dla nienawistnej Atalanty?

Ha, tam on wraca. Sługi śle przodem. Zapowiada śluby swe z Atalantą, nienawistną Althei dziewką.

Furjo! Zabij w sercu matczynem syna!

Dajcie skrzynię, sięgnąć głownię, tam ołtarz - głaz. Spalić to przesądem przesycone drewno, spalić ten symbol miłości macierzyńskiej...

Ogień zapłonął na ołtarzysku, matka chwiejnym krokiem przystępuje i – rzuca głownię, rzuca w płomienie miłość synowską.

Rozlega się okrzyk grozy.

Widział to syn. Matka obelżywemi słowy znieważa naznaczoną jego małżonkę. Ha, wszystkie węzły pozrywane.

Zatrute strzały sypałaś w kołczan? Jeden myśliwy, draśnięty lekko zadziorem jadowitym, padł nieżywy. Zbeszcześcić chciał ją? Padli od oszczepców Meleagra, choć wujowie!

Precz, wszyscy precz! Niech pali się głownia, przesąd niewieści, lęk zbyteczny budzący...

U ołtarza-głazu pozostaje Meleager i Atalanta. A głownia pryska iskrami, spala się, mienią się iskierki, czczy dym ulatuje w przestwór...

„Tyś do Diany podobna dziewczyno...“

Tylko ten sierp świetlisty gdyby był na twe czoło zeszedł... Ty bogini sama, ty królowa łowów i księżyca, piękniejsza, niż córka Latony...

O! Ale ona draśnięta włócznią Toxeja, ledwo draśnięta, ale do krwi... Tyle co zaboli, gdy gałąź głogu u szat się zaplącze i kolcem zrani ciało...

A jednak—to wystarcza...! już dziewczyna jutra przed sobą nie widzi, nie może sobie wyobrazić jutra...

Lęk blady ogarnia Meleagra, a ognie przechodzą ciało jego. Już głownia się dopala na ołtarzu.

I on nie widzi już jutra, nie ujrzy go...

„Althea chcąc podstępnie zwycięstwa przechylić szalę, jednemu ze swych braci, Toxejowi, zatrutych pęk strzał...“

Matka! I on umrze.

Ostatnie iskierki krwawią się na ołtarzu.

Lecz Atalanta, Meleagra chcąc zdobyć, ślubowała się nieopatrznie Dianie. Wyrywa się tedy, śmiertelna, z objęć śmiertelnego. On ją ściga. Ale w pościgu pada.

A głownia raz jeszcze błysnęła i zgasła.



Laodomia, w wiośnie uczuć i żądz, traci męża, bohaterskiego Protesilasa. Wzgardził on Erosem, potargał więzy jego kwieciste, wzgardził łożem miłości, zdjął ręce Laodamii ze swej szyi a tryumfu herosów zapragnął.

Milsza mu była sława, niż uściski żony, niż jej gorące spojrzenia i noce na kochaniu spędzone.

Milsza mu była wielkość nad łoże małżeńskie i wszystkie kochania powaby.

Odszedł i zginął.

A z losem okropnym nie może się pogodzić wdowa.

„Na zawsze szczęście dla mnie zamarło,
„na zawsze,—
„nad mem kochaniem wrota zawarło
„spiżowe.—
„Kochanku, usta twe miodowe,
„za cóż mi Orkus cię porywa?
„Płomienne ramion twych uściski
„W mych snach mnie dzierżą...
„Wróć do mnie, wróć, choć jedną chwilę
„niech będę z tobą zespolona...“

Tak rośnie w niej namiętna tęsknota za utraconym. Pragnie go ujrzeć raz jeszcze, upieścić raz jeszcze, bodaj najkrótsze raz jeszcze...

I przychodzi do niej śpiewak Aojdes, w ręku piszczałek kilkoro spojonych razem. Przychodzi co dnia śpiewać powieść długą o Protesilasie...

„Protesilas małżonki
„słuchać nieskory żalów,
„chluba mu pierś rozsadza
„żądzą gorętszą, niż miłość...
„sława to, sława go czeka,
„kraj musi ostawić za sobą,
„ciebie porzucić kochankę,
„żonę nad wszystkie najmilszą...“

Ale oczy śpiewaka płoną nietylko opowieścią bohaterską. One płoną także miłością ku pięknej wdowie, miłości spragnionej. Za śmiałe to spojrzenie, śpiewaku! Wygnać cię każe, śmiałku, Laodamia!

I Laodamia wygnała śpiewaka.

Ale z pod ziemi wychodzi Nuda, postać w sukniach

czarnych, w białe obręcze naszytych; siada naprzeciw, kamienna, posągowa, leniwa. Dopiero spędza ją Sen.

Tak, przychodzi Sen, uderzając Laodamię po głowie pałeczkami makowych badylów, ukazuje jej lepszy świat marzenia cudny świat, pełen utraconego kochania. Ale zjawia się Zmora i spędza roskoszny Sen.

Tak, przychodzi Zmora, Onejros, zbiega z powietrza w postaci straszydła o barwach szarych, ze skrzydłami błoniastemi ćmy puszystej. Zmora ukazuje widziadła inne. Oto okręt dobiega lądu, bohater-młodzian w pełnem uzbrojeniu rzuca się z korabla między wrogi. Nie zdąża za nim nikt, jest odcięty; zgiełk walki, bohater pada, słychać tylko głos jego daleki:

— Laodamio, Laodamio....

Laodamia rzuca się we śnie. Woła: „Zdrada! Pomocy! Pomocy"! A słabnący głos Protesilasa brzmi echowo:

— Laodamio, Laodamio...

Laodamia zsuwa się z łoża na posadzkę. Widziadła pierzchają. Wtedy zjawia się wysłaniec bogów Hermes. Oto gdy noc mrokiem przysłoni Phylackie wybrzeże, przywiedzie go z podziemu, przywiedzie upragnionego...

Laodamia budzi się. Radość, wesele, szał! Wzywa służebnice, wydaje rozkazy, a potem je odprawia. Teraz trzeba poczynić przygotowania. Trzeba zakląć Czar i Moc!

Pójdź, stara sługo, ty mi posłuszna! Przydam ci zagonów troje, jeno milcz!

Potrzebna jest mąki miarka bielutkiej, pszennej, przesianej, świeżo zmielonej.

Na żarnach ją sama zmielesz.

A także dzban miodu i dzban wina przysposób. W porę, gdy padać poczyna mrok, przyniesiesz to w ogród i skryjesz wedle grobowca.

Jagnię wywiedziesz białe i owcę czarną, skryjesz je między cyprysy wedle grobowca...

„Pani, ty zmarłych chcesz spokój zamącać? Przebóg, groza, ty szalona!"

Szalona! Chcę tajemne struny trącac i tajemne śpiewy śpiewać, co mi w duszy bólem woła! Odejdź!...

A teraz ty, dziewko, chodź. Masz pewno w mieście kochanka? Nie? Mieszka o miedzę od chaty ojca? Weź chustę, gdy mrok zapadnie, przywiedź go, tu mu dasz wina, mięsiwa i miodu, niech będzie syt.. Potem z kochankiem bądź szczęśliwa tej nocy—a będę ci szczodra...

„Pani, chcesz gusła czynić tej nocy?...
Dziewko, spędzisz noc na kochaniu!
„Gubisz się, nieszczęśliwa!...
Dziewko, odejdź!

Pójdź, starcze, ty który z ojcowizny przywlokłeś się tu za mną! Chcę być szczęśliwa, ja nieszczęśliwa! Chcę kochać tej nocy, przypomnieć czas rozłąki...

Oto ofiara zgotowiona. Co czynić trzeba? Mów mi koleją. Jakie się dary wprzód zastawia, jakie się wprzód objaty leją.

Noc. Grobowiec Protesilasa. Laodamia pilnie zważa a Starzec rozkazuje:

„Oburącz weźmiesz nóż
„dół żłobiąc wszerz i wzdłuż
„na piędzi dwoje;
„wlejesz weń miodu dzban,
„osobno wina kruż
„i czarę wody ze zdroju;
„zaś z wierzchu mąką białą
„objatę obsyp całą;
„A potem poczniesz troje
„modlitew, zaklęć, próśb
„dusz, które śpią w pokoju
„podziemia..."

Laodamia spełniła to. A Starzec rozkazuje dalej:

„Ująwszy jagnię skierujesz je łbem w stronę
„Erebu—tniesz nożem... Ująwszy owcę czarno-
„wełną, skierujesz łbem w stronę Erebu—tniesz
„nożem... Sama oczy odwróć od ofiary i ręce nad
„nią rozpostrzej..."

Krew spływa i pieni się. Płyną z Erebu duchy, młodzi, starce, dziewki, dzieci, do krwi, do krwi, do krwi...

— Małżonka nie poznaję, starcze! Gdzie on? Zali nie przybył z innymi duchami? Nowe mary, nowe widma, nowe cienie napływają gromadami, jego niema!

— Daremny guseł czar! Pani, precz odchodzę, ty wróć się do komnat, dusza małżonka niewolna!

Pierzcha starzec, ale nie Laodomia. Ona nie uwierzy, aby to wszystko było daremne, nie, przeczeka jeszcze straszną chwilę.

I w tej też chwili grobowiec się otwiera, wychodzi Hermes, wysłaniec bogów, wiodąc za rękę Protesilasa.

A w Laodamii serce ustało, wyciąga ramiona. Mara sunie ku niej.

„Tyżeś kochanku mój, małżonku pieszczony? Ostaniemy tak już czas wszystek nierozłączeni"

Ach, znikomą chwilę tylko, nie czas wszystek! Bo już się mara na powietrzu rozpływa. Daremnie chwyta Laodamia rękoma. Niknie, pierzcha, jak mgła.

„Los ze mną igra,
„Sen i Czar
„i mną się ludzką bawi...
„Śmierć mnie jedyna!"

Przebija się nożem.

Potem służebnice składają ją na łoże, zbiegają wszyscy domownicy, patrząc na trupa ze zgrozą. Trupa? Tak, tu trup. Ale tam, w głębi, ogrodem „idzie duch Protesilasa i Laodamii, idą w uścisku, w ujęciu, idą zwolna ku grobowcowi i znikają w jego ciemnym otworze."



Oto co sięgnął Wyspiański z greckiego prażródła tragedji.

Bo krajobraz i poczucie jego, wreszcie nastrój, to są rzeczy zupełnie współczesne.

Gdyby te tragedje były istotnie greckie, nie działałyby tak na nas, jak działają.

„Protesilas i Laodamia" to najpiękniejszy hymn wyśpiewany przez poezję współczesną na cześć miłości. Ilekroć zjawia się wielka poezja, tylekroć zjawia się wielka pieśń miłosna. Jesteśmy ludźmi. Poezja musi być bardzo „ludzka". Laodamia to czuje, sama siebie tak nazywa. To, że ona jest tak „ludzka", sprawia, iż dzieło Wyspiańskiego, mimo szat greckich, jest tak współczesne. Dość mamy tej hypokryzji, tej rzekomej, wstydliwości, która albo niszczy uczucie, albo jest tylko rumianą pokrywką jego braku. Jesteśmy ludźmy, chcemi być ludźmi! Dusza nasza wybiega po-za konwenanse towarzyskie, chce odnaleść siebie, chce być sobą—a poezja pomaga jej w tem. Kiedy w Polsce miłości nie było, nie było poezji. Przejrzyjcie dzieła XVII-go i XVIII wieku. Wiecie, jak się wtedy z miłością obchodzono. To też przez dwa wieki poezja polska nie skusiła z oka ani jednej łzy. Może tam na dnie serc odgrywały się najstraszniejsze tragedje, ach, rozgrywały się napewno! Ale nie było zrozumienia dla tych tragedji. To też gdy Malczewski napisał swoją „Marję", Mickiewicz czwartą część „Dziadów", a Słowacki „W Szwajcarji," wróciła miłość do Polski, uczucie zostało wyzwolone z oków doktryny społecznej. Zabiły serca, myśl nabrała polotu, rozgorzała imaginacja, ludzie poczęli żyć, czuć i wyrażać się po „ludzku."

A czy ta dawniejsza ucieczka do literatur obcych, zwłaszcza do literatury francuskiej, nie stoi z tem w związku? Czy stęsknione serca nie musiały szukać wyrazu tych uczuć u obcych, gdy ich nie mogły znaleść u siebie, w ojczyźnie, u autorów swojskich?

Ukójcie serca miłością, zapewnijcie duszom dziedzinę uczucia, a będziecie mieli ludzi, obywateli, bohaterów.

Odejmijcie im to, a będziecie mieli albo sobków, albo doktrynerów, albo bezduszne bydlęta, albo wreszcie zbrodniarzy na tle płciowem.

Bo nic się tak nie mści, jak nie uszanowane uczucie.

Ach, bo nawzajem, nic nie jest tak wdzięczne, jak uczucie uczczone.

Przeto owa pieśń miłosna „Protesilas i Laodamia,“ to nietylko nowy klejnot poezji naszej, ale wielki społeczny dorobek, kulturalny krok naprzód.



Teraz z takiem wyrobieniem tragika przystępuje Wyspiański do napisania dzieła, które w literaturze naszej jest unikatem, a w literaturze wszystkich wieków należy do rzędu arcydzieł.

Od herosa greckiego przejdzie on wprost do polskiego chłopa. Uczyni z niego postać Ajschylosową. Wieś mazurską zamieni na złowróżbny chór Sofoklesa. Stworzy w tej tragedji jedną taką scenę, jakiej nie posiada żadne piśmiennictwo piękne.

Wzbiwszy się na szczyty poezji tragicznej, pozostanie on niemal kopistą natury. Zerwawszy z wszelką tendencją, poruszy jedno z najważniejszych zagadnień społecznych.

Napisze „Klątwę.“

Bohaterem, prócz Młodej, będzie ksiądz, będzie ksiądz-chłop.

Ale genjalny poeta niemiecki radzi, aby poznać kraj poezji, jeśli się chce poetę zrozumieć. Nim tedy przejdę do tego niezwykłego dzieła, muszę się zastanowić nad historją „typu“ księdza ostatnich kilkudziesięciu lat w życiu i książce.



Posiadamy trzy ciekawe utwory, przedstawiające nam księży trzech niemal bezpośrednio po sobie następujących pokoleń. Utwory te są najbardziej znamienne w tym kierunku. Mamy księdza - szlachcica w Tetmajera noweli

„Ksiądz Piotr," mamy księdza - mieszczanina w dramacie Świętochowskiego „Ojciec Makary" i mamy wreszcie księdza - chłopa w Wyspiańskiego „Klątwie".

Ksiądz Piotr, szlachcic, obywatel, człowiek poświęcenia, był najpierw żołnierzem—hulaką, żołnierzem—patryotą. Gdy wypił z czary życia wszystkie krople szczęścia i goryczy, gdy myśl jego wraz z myślą publiczną zwróciła się do zagadnień wspólnych, cały naród obchodzących, zostaje on wiejskim księdzem, aby te prostacze dusze czynić nietylko chrześcijańskie, ale i polskie. Niczego już dla siebie nie pragnie. Żyje tylko dla tych prostaczych dusz. Nie wie nawet, że taka dobroć, takie poświęcenie, takie zaparcie się siebie prowadzi do niesłychanej poezji. On rozumie wszystko, odczuwa wszystko, rozumie i kocha cały świat. I nieraz wsłuchuje się w jego tajemniczy chód niby w mechanizm wielkiego zegara. A gdy pod zachód słońca pogląda po łanach ubarwionych zbożem i kwieciem, to ziemia cała zamienia mu się w wizję świetlaną, tylko kolory ziemi niosącą, ale która przestała już być ziemią..

Ksiądz Piotr zrzekł się wszystkich swoich praw na rzecz tych dusz, które miały być nietylko chrześcijańskie, ale i polskie.

On zrzekł się swoich praw...

Nagle świat zmienia się z gruntu. Wymiera poprostu pokolenie księży Piotrów a rodzi się pokolenie Ojców Makarych. Zmienia się wszystko, zmienia się myśl publiczna i myśl prywatna, zmienia się stosunek człowieka do obowiązku i obowiązku do człowieka. Zmieniają się prawa człowieka. Rodzą się nowe potrzeby i składa się je do starych kołysek, które wypiastowały potrzeby innych czasów.

Ojciec Makary nie miał nigdy żadnych praw. Odmówiono mu ludzkich uczuć. Kiedy przysięgał, był innym człowiekiem; kiedy poczuł brzemię i przekleństwo tej przysięgi, był znacznie innym.

Ojciec Makary nie chce kłamać, bo jest człowiekiem·

Ojciec Makary musi kłamać, jeżeli choć trochę chce być człowiekiem.

Ojciec Makary upomina się u świata o prawa ludzkie. Narodziło się bowiem u nas mieszczaństwo, które chwyciło w swoje ręce przodownictwo kulturalne. Każdy o coś walczy, każdy upomina się o prawa ludzkie. Niema zresztą haseł, któreby wskazywały cel wyższy nad własne człowieczeństwo. Ojciec Makary dopomina się o człowieczeństwo dla siebie.

Ha, pozostaje jedno z dwojga. Albo uciekaj na kraj świata, albo pozostań śród swej społeczności i kładź na twarz lisią maskę.

Gdyby Ojciec Makary poszedł uskarżyć się na swą dolę do Księdza Piotra, ten nie mógłby go poprostu zrozumieć. Tyś grzeszny! krzyknąłby mu. Ja jestem tylko ludzki — odparłby Ojciec Makary. Ksiądz Piotr nie posiadałby się z oburzenia i nazwałby Ojca Makarego złym patryotą. I Ojciec Makary musiałby wywędrować gdzieś na Madagaskar i tam w bólu, tęsknocie, żalu i goryczy dożywać dni swoich.

Wymiera pokolenie Makarych. Tak, wymiera lub marnieje. Prometej nie pójdzie jego drogą, ofiarnik znajdzie inne pole działania. Gdzież jeszcze będzie szedł ktoś tą drogą w imię idei, z powołania?

Rodzi się galicyjski ksiądz-chłop.

Z tych tłumów wieśniaczych, które w Galicji rok rocznie napływają do szkół, lwia część przechodzi następnie do seminarjów. Spełnia się marzenie matek, ambicja ojców, pragnienie wybicia się na wierzch synów. Dla chłopa zostać księdzem — szczyt dążeń. Duchowieństwo galicyjskie zdemokratyzowało się w niesłychanie krótkim czasie. Ale jak należy pojmować tę demokratyzację?

Ksiądz-chłop różnił się w Galicji od księdza szlachcica. Ksiądz chłop, doszedłszy do pewnej liczebnej potęgi, własnowolnie odsunął się od księdza-szlachcica. Uczuł to

kardynał Dunajewski, gdy na jego „święconem“ zaczęły sale świecić pustkami.

Ale na młynach cywilizacyjnych Galicji twarde ziarno chłopskie nie dało się zemleć na bieluchną mąkę anielstwa. Chłop, przybrawszy sutannę, pozostał chłopem. Pozostał jednostką krzepką, namiętną, żywiołową, którą reguły Grzegorza VII-go bardzo dotkliwie ściskały. Żywiołowe namiętności powodują żywiołowe starcia. Lud czego innego oczekiwał po „swoim“. Stąd burza. Ksiądz-chłop nie jest jednak Makarym, deistą-filozofem; on wierzy w moc swej przysięgi, wierzy w niebo i piekło. Stąd tragedja. I oto stanęliśmy w progu „Klątwy“ Wyspiańskiego.



Na plebanii.

Śród skwarnej posuchy surowe postaci chłopów w milczeniu okopują ziemniaki. Nad nimi Młoda, Młoda z plebanji. Ostrym głosem nawołuje do pośpiechu.

„Stęgłe bryły, nieokież skała, co jej nie można ubić“ — odpowiadają chłopi surowo. „Ziemia się sparła, nie puści“.

Tak, nie puści ziemia! Ta posucha to klątwa boża. Źle się dzieje we wsi, na plebanji pleni się grzech. Na plebanji publiczne zgorszenie.

To mówią te surowe twarze, te postaci schylone z motykami nad zagonem. Czoła ponure, usta zacięte; ale lada chwila bunt jawny wybuchnie. Trzeba tylko pozoru.

Młoda jednak czuje całą moc swoją, bo za nią ksiądz. Wie, że na chłopów trzeba z góry. Ona ich zna. Zstępuje ze schodków ku zagonowi i podniesionym głosem woła:

„Imajcie motyk.—Cóż to tela
„dzisiok skopane? Marnotrawce!
„leda psom braty!“

Jeszcze hamuje się pierś chłopska, jeszcze tylko pomurk z ust idzie chórem.

„A cóż tyle wołanie,
„nie dziwna nam robota,
„kiejście tacy ozsierdzeni,
„ano dziękujem za nię!“

Młoda podnosi pięść. Przyjdą inni, zapłaci ich podwójnie. Przyjdą? Nie przyjdą! U ciebie praca hańbi człeka!

„Psiewiary!“

Psiawiara ty i plemię twe sobacze! Teraz lud rzuca motyki. Nie przyjdzie nikt, zwiedłaś ludzi do złego, grzesznico, Bóg cię skarze! Przez ciebie nad wsią całą zawisło nieszczęście!

I z tą chwilą powaga Młodej we wsi złamana. Panowanie jej grzeszne skończone. Teraz wszystkie krzywdy ludzkie przeciw niej się obrócą. Teraz będzie żyła w ciągłym lęku i wyczekiwaniu rzeczy ostatecznych.

Kochanka to księżowa, zgorszenie dla wszystkich. Matka dzieciom nieprawym, które się na oczach całej wsi chowają. Ksiądz nie chce jakiejś dziewce chrzcić dziecka nieślubnego. „Cóż ta takie fuki! a inksze łażą dziecka chrzczone, choć też nieślubne!“ I nowy cios na Młodą. Dziewka ta u niej na służbie. Młoda, popadłszy w gniew, wypędza ją. Dziewka ją wyklina, ją i dzieci.

To wstrząsnęło Młodą. Ona czuje, że klątwa słuszna że zaważy nad jej głową. A tymczasem chłopi zbierają się na narady, wysuwa się sołtys do księdza, następuje rozprawa. Źle się dzieje, księże, źle się dzieje! Ale ksiądz nie ugnie się łatwo. „Wara wam do mnie, wy, gromada! Za moje Bóg osądzi!“

Ale jegomość z „naszych“ przecie, to wstyd nam naszej plamy! Was, jegomościu, słabość gubi. Ta posucha, którą Bóg zesłał, klątwa—przez was! Oddalcie grzech od siebie, jegomościu... Ksiądz wybucha. Wy śmiecie?

Ale już krótkie te wybuchy. Już sumienie zaczyna go gryść. Grozą przejmuje go śpiew ludu:

Rola schnie,
gleba pęka,

Kłos bujny mdleje,—
Bożych Sądów
grożna ręka;
Serce truchleje...

Ach, na plebanję przybywa stara matka księdza, o niczem nie wiedząca. Doczekała się pociechy z syna, przychodzi go powitać na jego gospodarstwie. Czemu syn jednak taki chmurny? Cóż mu dolega? Co robi ta Młoda u niego? Nikt matki nie objaśnia, każdy milczy. Siadają do stołu. I Młoda z nimi? A czyjeż te dzieciny tam? Okropny domysł lęgnie się w głowie staruszki. Przy stole ksiądz sięga wino. „Trza się wam, matulu, skrzepić". Nalewa, ale miasto z matką, trąca się z Młodą. Jedno spojrzenie staruszki, jedno spojrzenie rzucone na syna i na Młodą wystarcza. „Matuś pomdleli, wody!" krzyknął ksiądz.

Młoda ucieka od stołu. Następuje okropna rozmowa pomiędzy matką a synem. Ach, uwiódł go grzech, uwiodły ponęty.

„Matuś słuchajcie, wy nie wiecie,
„jakie to nam pożycie razem,
„jakie to lęki dręczą skrycie...
„Ale —
„Niechże jej będzie świat za życia
„słoneczny,
„niechże choć jeden kąt ten znajdzie
„dorzeczny...
„Miłość ojcowa, miłośc święta
„dla mnie straszliwych klątew wzywa..."

Więc ona i dzieci miłe tobie! Miłe... „Ktokolwiek na tej ziemi przysięgi strasSliwemi ślubował Bogu swoją duszę w czystości żywić nieskalanej, a potem śluby swoje łamie..." Ba, on to wie! I lęk, lęk we dnie i noc idzie za nim. On tak całkiem inaczej wyobrażał sobie swój stan kapłański!

„Skry święte rwały mnie palące
„być z pomazańców i szafarzy,
„pod stropy świątyń malowane
„kadzideł dymy kołysane
„ze srebrnych amfor chybać..."

Ot, dola, los, wieczna krzywda człowieka! Jedno mogłoby go uratować, gdyby Bóg ją i dzieci...

Młoda, która całe panowanie swoje opiera na tem, by podsłuchiwać i zmowy unicestwiać, podsłuchała i tę rozmowę na swoje nieszczęście. Co, więc i ten jedyny, na którego tak liczyła, i on przeciw niej?

Teraz wszelkie węzły pozrywane, teraz niema już dla niej miejsca na rozległym świecie.

Złamana matka opuszcza syna. Zachodzi jej Młoda. Wiedzie chłopczyka i dziewczynkę. „Oto je wiodę urodzone w miłości...“

Matka drgnęła. Ale w tej chwili ponad wszelkie prawa nieba bierze u niej górę głos ziemi, głos plemienia. „Niechże je błogosławię...“ One, zrodzone na niedolę, na poniewierkę ludzką, niechże bodaj choć jedno błogosławieństwo wezmą na te jasne główki...

A tymczasem pomiędzy ludem narady, burze; posucha trwa; sprowadzają z borów jakiegoś pustelnika, aby księdza napomniał; czynią jakieś gusła, jakieś zażegnania. Pustelnik radzi:

„Trza, by pod Nieba błękit parny
dym wzbił się w słup ofiarny!
Sprządz czarnorogich wołów czworo,
tymi dwie sągi ciężkich kłód
trza na dalekie wywieść pole
ugorne, puste...“. . . . .

W Młodej zachodzi jakaś gwałtowna zmiana. Ta dziewka, która ją przeklęła, zabiera się ze swem dziecięciem do odejścia. „Kaśka“ mówi Młoda, „Bóg klątwę słyszy. Sukienczyn parę, co za małe na moje młodsze, to ci będzie prawie na twoje. Weźmiesz? Chcę żebyć wzięna!“ Wybiega do komory, przynosi cały tabol. „A rzeknij ino choć przed progiem inaczej!“—„Ostańcie z Bogiem!“

To jedno. A teraz reszta. Wieś przeciw niej, matka przeciw niej, ksiądz przeciw niej. A tam chcą niewinne

drzewo palić? Nie, grzech trzeba spalić, przewinienie trzeba spalić...

Przybrawszy siebie i dzieciny swoje odświętnie, jedno dzierżąc na ramieniu, drugie prowadząc za rączkę, wychodzi z plebanji z mocnem postanowieniem, aby tam, kędy się wzniesie czarny dym ofiarny, umrzeć.

I jak natchniona zamiarem swoim, wpatrzona w niebo, matka, przez cały świat z dziecinami swemi odtrącona, czyniąca ostatni obrachunek ze sobą, z Bogiem i światem, odbywa pochód przez scenę, jakiego nie posiada literatura wszystkich wieków.

Rozpoczyna już ekspiację, rozpoczyna pokutę, idzie już przez pół rozgrzeszona, już przez pół zaziemska. Żegna ziemię, słońce, pola, modli się Bogu.

„Dziatek tych moich zlituj małych
„w giezłeczkach białych,
„otom je godnie ustroiła
„i siebie samą przygodziła...
„We włos im wplotłam kłosy zżęte
„jako, że w Szczęściu są poczęte;
„jako, że Nieszczęść gnie je Dola,
„kłos złoty sierpem żęłam z pola...
„Niedługą chwilę już pożywię...
„Żywa, przez ogień pójdę żywy,
„Przeniosę ból i żar straszliwy,
„Bądź-że ty litościwy!..

. . . .

„Bądźcie mi zdrowe, bądź mi zdrowa
„Radości i Wesele,
„Żegnaj słońce...
„Oto na stos skazana idę,
„glina, rozsypię się w popiele,
„ostatnim grzechem śmierci grzeszę.
„grzech, co mych grzechów pamięć zetrze...

. . . .

„Dawasz Sędzio sprawiedliwy
„Nademną młodą sąd straszliwy
„ognia żywego...

„Ciało zetlałe w popioły
„Wichr zwieje z prochem pospoły
„we czworą świata stronę,
„a dusza, gołębica biała,
„zwól, by z popielnych zgliszczów wstała
„w jasności nieskończone...“

Następnie obchodzi plebanję. Widać ją przez drzwi na przestrzał otwarte. Potem widać ją za plebanją. Potem na wzgórku. Potem niknie na zakręcie. A potem — potem ukazuje się nad polem słup czarnego dymu...

Ani tak tragicznym nie jest los Ifigenji, ani równa się jej modlitwie żegnająca swe rodzinne pola Joanna d'Arc. Tamtym przyświecała jakaś idea. Ta z potomstwem swojem idzie umierać, bo dla nich miejsca niema na wielkim świecie, ani nawet w uczciwem wspomnieniu ludzkiem. Matka i potomstwo przeklęte, przeklęta owa miłość, która im życie dała, przekleństwo z nich płynie na społeczność, śród której żyją...

Ale pomiędzy postanowieniem, uczynionem w ekstazie ekspiacyjnej, a okropną rzeczywistością, leży przepaść, którą w takich warunkach wypełnić tylko może—obłęd.

Gdy—matka—z dziecinami swemi stanęła przed gorejącym stosem, gdy szybkim ruchem rzuciła w płomienie jedno dziecko, drugie—gdy przez tę chwilkę chwilki ujrzała, co się dzieje—bunt, obłęd, szaleństwo porwało ją swemi wichrami. Nim zdążyła skoczyć za dziećmi, cała natura wzburzyła się w niej przeciw nieubłaganemu światu i jego porządkom. Jakto, żali ten świat ma prawo żądać unicestwienia tych niewinnych istotek? Ma prawo tak strasznie karać? Miłość, macierzyństwo, wszystko na nic, jeno śmierć? O, jeżeli świat ma tak kamienne prawa, to prawa te są złe, to sam świat jest z gruntu zły. To jego trzeba zniszczyć, trzeba spalić świat, trzeba pomsty nad nim za te skwierczące w ogniu dzieciny! Cały świat matce za nic, gdy chodzi o jej dzieciny! A, chwytać z tego stosu żagiew płonącą, lecieć na tę wieś, podpalać dom za domem, całą wieś, zniszczyć wszystko, wszystko, wszystko!

I niby matka-furja z żagwią płonącą leci do wsi, leci palić, niszczyć, mścić, krzywdę za krzywdę, zniszczenie za zniszczenie, popiół za popiół, ból za ból...

Niech zgoreje wszystko, niechaj ziemia zamieni się w jedno cmentarzysko; niewarta ona istnienia, gdzie takie rzeczy dziać się mogą...

Ale w oczach ludu jest ta matka-furja tylko zbrodniarką, która nieprawy płód swój do ognia rzuciła. I jest ona zwyczajną podpalaczką. Wzburzony tłum biegnie za nią w pościgu, otacza, zabija kamieniami jak wściekłego psa...

A na plebanji, dokąd już straszna wieść dobiegła? Ach, tam, tam jakaś postać rwie włosy z głowy, chwyta powróz, ucieka w pole...

Chmury zbierają się nad wsią, krzyżują się po niebie błyskawice, zaczynają bić gromy...

Natura — czy niebo — poczyna przemawiać do świata obłędnego z przesądów...



Ze stosu ofiarnego wyleciały trzy gołębice białe. To owe „spaleńce“, mówi lud. Dusze dwojga dziecinek. A trzecia gołębica? Dusza matki? Myśl matki? Och, bo matka sama tam w dole ubita kamieniami...



Leży przedemną egzemplarz „Klątwy“ w pierwszem wydaniu. Na okładce widnieje szeroko rozrosły, ów tragiczny, rozwiany polski oset...

Nie grano „Klątwy“ w Galicji. Dzieje się ona pocichu w życiu. Niema tam stosów, niema gołąbków wylatujących z płomieni, ale są te same grozy, te same rozpacze, te same tragedje.

Ktoś powiedział pięknie, że sztuka mówi za tych,

którzy milczą. Nie wystawić „Klątwy“ to znaczy, nie dać głosu milczącym.

Doktryna włożyła ludziom zawiązkę na oczy. Nie chcą widzieć pewnych ran. Doktryna okaleczyła ich sumienia. Nie umieją odczuwać pewnych krzywd i wybaczają pewne zbrodnie.

W tym wypadku przeklętym jest ten, który widzi i który ma sumienie.

Ach, powiadacie, że wy na to ślepi w imię wyższej idei, w imię wyższych celów, wspólnych celów? Jakież są te idee, jakież są te wspólne cele? Co wy robicie dla nich?

Hajże, pojedźmy na wesele do Bronowic! Wesele, wasze dzisiejsze wesele!

Zaproście z sobą wszystkie wasze tęsknoty, żale, poloty, wszystko, co macie na swoje poparcie, nic nie zostawcie, wszystko bierzcie! Tam nastąpi rozrachunek.

Tam rozegra się jakiś „Dzień Dzisiejszy“ i wy będziecie aktorami, wy, nawet te wasze idee, te wasze wyższe cele, te wasze wspólne cele! Tam pójdziecie w tan, w tan śmierci i życia, w ten tan „dzisiejszy“. Macie jakiegoś starostę weselnego, tę jakąś waszą ideę, ona wam będzie przygrywać, obaczymy, jak ona wygląda, ona, dla której zamurowaliście wasze sumienia, pozapychaliście uszy bawełną od ludzkiego jęku i zawiesiliście sobie zasłony na oczach...

„Wesele!“ Sięgajcie wasz złoty róg, uderzcie w niego całem tchnieniem waszych płuc, zwołajcie do jednej izbicy weselnej całą społeczność!

Na sąd, na sąd, na „weselny“ sąd!



Jakiś zwarjowany poeta-inteligent ożenił się z chłopką i powiedział, że zrobił to w imię idei.

Zawrzało w całej Polsce od kłótni, sporów i namięt-

nych dyskusji. Czytająca książki społeczność rozłamała się na dwa obozy. Jedni nazwali owego poetę lekkoduchem, dziwakiem, komedjantem, przestępcą, zbrodniarzem, niemal zdrajcą; drudzy, stopniując w kierunku odwrotnym—człowiekiem rozumnym, natchnionym, reformatorem, prorokiem, zbawcą...

Wyspiański ani jednej chwili nie zastanawiał się nad tem, czy to mądre, czy głupie, czy przestępne, czy zbawcze, tylko pejechał na wesele i przywiózł stamtąd swoje— „Wesele".

Chciał przedstawić ów „dzień dzisiejszy", jak to na swój sposób i na swoje czasy czynił każdy wielki poeta, gdy mu ból społeczny począł doskwierać. Ale jak tu przedstawić taki dzień dzisiejszy ze wszystkiemi stanami?

Przysłużył mu się właśnie ów szczególny przypadek. Małżeństwo poety z chłopką sprowadziło do jednej izbicy weselnej artystów, literatów, dziennikarzy, chłopów, szlachtę, mieszczan, panie radczynie z Krakowa, inteligentne panny z Krakowa, żyda, księdza, brakło tylko chyba jakiegoś robociarza z Borysławia i hrabiego, patrzącego przez ramię na Borysław, choć go po części zastąpił „jego" dziennikarz.

Więc kiedy przypadek wymalował Wyspiańskiemu takie wielkie „I", postanowił genjalnym rzutem pióra dać nad to wielkie „I" tylko jeszcze kropkę, która zamieniła się w szczególne, wyjątkowe dzieło, jedyne w swoim rodzaju.

Dwie formy poetyckie złożyły się na nie. Jedna forma, to tak zwana zaginiona komedja grecka, gdyż tylko szczątki nas doszły. W nich autorowie brali za podstawę jakiś głośny wypadek, który się zdarzył, wprowadzali go żywcem na scenę i snuli z niego to, co uważali za właściwe. Tak też postąpił Wyspiański. Wprowadza na scenę owe głośne małżeństwo poety z chłopką i z tego weseliska snuje akcję wedle swego widzenia rzeczy.

A druga forma—to forma starej szopki polskiej. Dawno się to szopce polskiej należało. Cóż to ona? Ach,

występują znane, stare figurki, odklepią swoje, wystąpią inne, znowu swoje powiedzą. Niby to bez związku, bez sensu a jednak to właśnie łączy się z sobą w jakąś szczególną całość, którą lubią młodzi, którą lubią starzy, robi się właśnie ta—szopka polska.

Tak samo w „Weselu“. Na tle muzyki to hulaszczej, to marzącej, przewijają się przez scenę figurki, mówią swoje, pozornie bez sensu, bez związku, aż nagle poczyna się to wszystko łączyć, wiązać, spajać, robi się jakaś ogromna całość.

Ale ta druga forma ma inne jeszcze znaczenie. Ona ma jeszcze znaczenie treści. Bo to, co się na tem weselisku dzieje, to istotnie szopka polska, tragiczna szopka polska.

„To historja wesoła a ogromnie przez to smutna“, jak powiada jeden z bohaterów.



Ho, ho! Weselisko trwa już trzeci dzień, bo to weselisko krakowskie. A wciąż przybywają nowi goście. Nawet od biurka redakcyjnego wstał Dziennikarz, rad, że zapomni o sejmach, parlamentach, koncercie europejskim i tym podobnych do wściekłości doprowadzających aktualnościach. Zapomni o społecznych sprawach, regulacji rzek, programie swego obozu, który go tyle obchodzi, ile zeszłoroczne śniegi, ale w który oficjalnie tak wierzy głęboko, że wyklina wszystkie inne wiary społeczno-polityczno-narodowo-czarno-żółto-austryackie.

Ale łudzi się nieborak! Jakto, natoż widzą między sobą chłopi „pana z gazety“, aby go zaraz na wstępie nie spytali: „Cóż tam, panie, w polityce, Chińczyki trzymają się mocno?“

„A mój miły gospodarzu, mam przez cały dzień dosyć tych Chińczyków!“ Jakto, pan polityk! „Owóż mam dosyć tej całej polityki!“...

Ho-ho, ale nie chłopi! „Cytomy gazety i sydko wiemy!“ Obruszył się dziennikarz. „Mnie się zdaje, że na waszej parafji świat dla was aż dosyć szeroki!“ I parafrazuje w ironiczny sposób Kochanowskiego sięgający wiersz:

„Niech na całym świecie wojna,
„byle polska wieś zaciszna,
„byle polska wieś spokojna...“

W tym trójwierszu znalazł się cały program galicyjskiej partji „straży pożarnej“. Ale chłop rżnie na to prosto z mosta:

„Pon się bojom we wsi ruchu,
„Pon nas obśmiwajom w duchu,
„A jak my, to my się rwiemy
„ino do jakiej bijacki.
„Z takich jak my był Głowacki.
„A jak myślę, że panowie
„duza by juz mogli mieć,
„ino oni nie chcom chcieć!“

I to „nie chcom chcieć“ poczyna być lejtmotywem, idącym przez trzy akty, refrenem podobnym do świstu wężowego, kończącym każdy akt.

Ale już zjawia się „krakowska radczyni“ z córkami, wysoce zaambarasowana, jak z temi chłopami gadać, więc popełnia niezgrabność towarzyską, pytając się w słotno-zimnym listopadzie: „czyście sobie wszystko posiali“, na co otrzymuje odpowiedź: „ta tym casem sie nie siwo!“ Panienki rwą się w taniec. „Raż dokoła, raz dokoła!“ Z temi chłopakami raz dokoła, co to zamiatają pawiemi piórkami po izbie i przyzbie. Do radczyni podchodzi Klimina „tu wsiosko od maleńkości po wójcie wdowa“, któraby wszystkich żeniła, bo „coraż więcej potrza ludzi“, co za-

raz niepokoi radczynię, gdyż daje do zrozumienia myśl swoją w słowach: „wyście sobie, a my sobie, każdy sobie rzepkę skrobie". Zjawia się ksiądz, bardzo przez pana młodego i pannę młodą fetowany, ale który jakieś bóle ma na wnętrzu, bo to takie niedobrane małżeństwo, może potem wypaść różnie; co trochę gniewa pana młodego, więc, pragnąc odwrócić rozmowę, wzmiankuje, zacierając ręce, że to chyba niedługo konsystorz pomyśli o pelerynce dla księdza dobrodzieja. Ale panna młoda robi uwagę, że „te ciarachy tworde, trzaby stać i walić w mordę..." Co wywołuje pewną konsternację, pewien ambaras w towarzystwie, ale ksiądz uśmiecha się dobrotliwie i o tej „bajecznie kolorowej" powiada: „naiwne to i niewinne!" Świetne pojęcie niewinności i naiwności!

Przybywa Poeta, który pannom mówi: „gdyby mi tak rzekła która, sercem już dysponująca, tak poprostu, no chcę ciebie..." Ale panny znają się na tych bezpretensjonalnych pretensjach, które się nigdy jakoś nie mogą skończyć w kościele. Przybywa Żyd arendarz, zdumiony, że się pan młody „cały w kolorach mieni", ale pewnie „to jutro zruci", na co pan młody odpowiada: „chłopski narodowy strój", ale Żyd paruje to cięcie mówiąc: „pan się narodowo bałamuci", i dodaje: „panu wolno—to ładny krój — to już było!" Ale ksiądz, ujrzawszy żyda, pociąga go za arendę; Żyd się tłomaczy, że chłop nie płaci; nacisnięty przez księdza arendarz dusi chłopa, który patrząc na jednego i z kolei na drugiego, powiada: „nie wiem kto mych groszy złodziej, czy Żyd jucha, czy dobrodziej." I tak odsłania się rąbek stosunków ekonomicznych, istniejących pod egidą tego, który przed chwilą mówił: „sami swoi, polska szopa i wy z chłopa i ja z chłopa". Ale Żyd przysuwa się do Pana Młodego i zapowiada przybycie swej córki, bardzo utalentowanej panny, „którą muzyka bierze, choć za mąż jeszcze jej nie biorą", Niech pan z nią pogada, to jest panna modern całkiem, „była w Wiedniu na

operze, w domu sobie sama pierze i zna cały Przybyszewski! A włosy nosi w półkole jak włoscy w obrazach anieli, ala-ala" — „Botticelli" kończy za niego Pan Młody Tak, ala -... „Ona lubi te poety, ona nawet chłopy lubi, ona chłopom kredyt daje, to się we mnie serce kraje i w ciągłej jestem rozterce, tu interes, a tu serce..."

Ale jest już i Rachela, wnuczka Judyty Słowackiego. Poezja w niej, nad nią, koło niej. „Jedna mnie tu zwiodła chmurka... ta chałupa rozświecona grająca muzyką w noc ciemną, hukają pijane chłopy, ensemble jak z feerji, z bajki."

A Pan Młody? On w miłosnej rozmowie pogrążony z ukochaną żoną. Wszak ona jak lalka dobyta z pudełek w Sukiennicach. „Buciki mom trochę ciasne". „A to zezuj, moja złota". „Cóz ta znowu, to nimozno, trza być w butach na weselu".

Ale już znużenie ogarnia tych wszystkich gości i uczestników wesela. Już poczyna się refleksja, już znowu ta szarość codzienna się przypomina, już znowu śni dusza coś nowego. „W każdym duch się poniewiera, takby się hen gnało, gnało do ogromnych wielkich rzeczy".

„Taki mi się snuje dramat
„groźny, szumny, posuwisty,
„jęk i zgrzyt i wichrów świsty.
„Może przy tem wichrów graniu
„o jakiemś wielkiem kochaniu..."

Tak, to tak w każdym z nich coś woła, jakaś historja wesoła, a ogromnie przez to smutna... Śni się bohater, w grze uczucia, chłop „qui amat"... A wszystko bajka wierutna!

Rok w rok w każdem pokoleniu raz wraz dusza się odsłania i raz wraz się grąży w cieniu. Już znudzeni na weselu, na tej polskiej szopce, pragną czegoś, sami nie wiedzą, poją się wzajemnie żółcią, aż wreszcie Rachela, widząc to, woła im: zaproście tu na wesele wszystkie dziwy,

kwiaty, krzewy, pioruny, brzęczenia, śpiewy... A może i tego chochoła tam, tę za oknem różę, owiniętą w słomę przed chłodem zimowym, ach „bo tęsknota i żal udzieli się przeciętej słomie“, bo każdy słyszał przecie: „nie przeziębi najgorszy mróz, jeśli kto ma zapach róż, owiną go w słomę zbóż a na wiosnę go odwiążą i sam odkwitnie.“ Ha, zaprosić, zaprosić te wszystkie „wciórności“, będzie wielka feta, sprosić cały świat! Hej, panie młody, zaproś chochoła, niech on nam tu przywiedzie cały nadprzyrodzony świat! „Przyjdź chochole na wesele, wraz na gody do gospody, jest nas tyle jeść i pić, możesz sobie z nami kpić!“ Panna młoda robi uwagę: „Cy on nos tyz posłucha, bo to głucha psiajucha!“

A za oknem w deszczu listopadowym moknące straszydło drgnęło, ożyło i kiedy w pustej izbicy mała Izia skręca lampę, że powstaje półmrok, gdy na ściennym zegarze bije północ, ukazuje się w progu chochołowe widmo, mówiące tubalnym głosem:

„Kto mnie wołał
„czego chciał,
„zebrałem się
„w com ta miał;
„jestem, jestem
„na wesele,
„przyjedzie tu
„gości wiele,
„żeby jeno wicher wiał...“

I jak Guślarz w „Dziadach“, tak tu ten słomiany Mocarz poczyna zaklinać wszystkie duchy:

„Co się w duszy komu gra,
„co kto w swoich widzi snach,
„czy to grzech,
„czy to śmiech,
„czy to kapcan, czy to pan,
„na wesele przyjdzie w tan...“

A następnie zwraca się do małej Izi:

„Tatusiowi powiadaj,
„że tu gości będzie miał,
„jako chciał, jako chciał...“

Mocarz? Ten chochoł słomiany? Nie, dla każdego dziecięcia to zwyczajny śmieć!

„Huś ha, na pole
„głupi śmieciu, chochole!“

woła Izia, chwytając miotłę. Ale z dziwnym smutkiem odpowiada jej ten śmieć:

„ubrałem się w com ta miał,
„sam twój tatuś na mnie wdział,
„bo się bał, bo się bał,
„bym zaś nie zwiądł, róży krzak...“

I od tej chwili cała ta dudniąca muzyką weselną chata, cały ten dom weselny zapełnia się duchami, widmami, upiorami, historycznemi wspomnieniami, marzeniami przyszłości niedomarzonemi, wspomnieniami przeszłości przepomnianemi. Każdemu ukazuje się jego „spiritus familiaris“, jego Sokratesowy „demon“, jego duchowy „alter ego“, jego uzupełnienie, jego sen, przestroga, napomnienie, klątwa, szyderstwo, robi się sąd, sąd fantastyczny, przegląd myślowy, rewja idei. Ha, stworzyliście społeczności sny, bohaterów na papierze, na płótnie, śpiewaliście społeczności pieśń. Ona, ta pieśń, wzięła ciało i zamieszkała między wami, wy się jej przelękniecie, ulegniecie jej na chwilę, aż skamieniejecie z tęsknot, samych tęsknot, z oczekiwania, z samego oczekiwania, z oczekiwania tego cudu... Wszystkie widma przyjdą, wszystkie! Te serdeczne i te polityczne, te wspólne, przyjdą, uczynią w duszach okropną zawieruchę, jakoście chcieli...

Więc najpierw przed młodą niewiastą, niecałkiem

szczęśliwą, staje jej dawny, gdzieś zaginiony kochanek, jak to zwykle na weselach przyjaciółek, kiedy się to dziewczynom i mężatkom wszystkie rany serdeczne otwierają i znowu z nich krew płynie. Była ona dziewczyną na Podhalu a on jak ćma leciał do światła cywilizacyjnego. Och, leciał do tego światła, góralczyk biedny, w surducinie wiatrem podszytej, rwący się naprzód do lepszego życia. Leciał i wierzył, że wróci do tęskniącej dziewczyny; aż tam na tym wielkim świecie gdzieś przepadł... Teraz, tam w grobie leżący, posłyszał tę muzykę weselną, te tany, zwabiło go echo z Tatr; przez noc, przez mgły i deszcze płynie, słyszy te wołania: „raz dokoła, raz dokoła". Porywa go tęsknota, ożył jak ten krzak róży w słomę owinięty, jak ten chochoł, pan wszystkich „wciórności", mknie w mgłach, podlatuje pod okno i jako cień staje w progu, mówiąc mową zagrobową:

„Miałem ci być poślubiony
„moja ślubna ty..."

A ona, niemal widmo za rzeczywistość biorąc, odpowiada mu:

„bywałeś mój narzeczony,
„ka że teraz ty?.."

Czekałam długo, długo i nie doczekałam się. Gdzie ty mieszkasz? Gdzie twój dom?

„Goniłem do różnych miast
„rozhulaniec, pędziwiatr,
„ażem gdziesi w ziemię wpad,
„gdzie mnie toczy gad..."

Ale „zwabiło mnie echo z Tatr, zwabiły mnie głosy z chat, domek mój ponoś grób, ale, żebym ja był trup, nie wierz, Maryś, żywie duch, żywie duch!"

To ty w grobie? Nie chwytaj się mych sukien, taki zimny ciąg idzie od ciebie, takie zimno wieje z ust...

„Maryś moja, raz dokoła, bo mnie potem mus zawoła...“ Precz, ty już nie mój, nie, zimnem dołu wieje strój... „Raz dokoła, raz dokoła, mus mnie woła, mus mnie woła...“ Ach, już woła mus, już porywają go siły niewidzialne, już z mgłami odpływa przez noc, przez deszcz...

Ale napływają nowe duchy, coraz liczniej, coraz tłumniej. Chochoł wezwał wszystkie „wciórności!“ Przed Dziennikarzem staje jego polityczny patron, staje Zygmuntowski błazen, Stańczyk, jak go wymalował Matejko a do wierzenia podał Szujski.

Każdy wielki człowiek ma w historji małego naśladowcę i każdy mały człowiek może się myślą swoją wywieść od wielkiego człowieka. I tworzy się ta plątawa historyczno-ideowa, to włóczenie się za sobą idei, ludzi, małych, dużych, to małżeństwo wielkości z parodją, to zbratanie filozofa, który musiał być błaznem, z błaznem, który udaje filozofa.

I wchodzą też tak na scenę, jak szli przez historję. Wchodzi Duch-Stańczyk, oglądając się za siebie i mówiąc: „ktoś się zamną włóczy wciąż“; wchodzi Człowiek-Stańczyk, stwierdzając, że: „ktoś przedemną ciągle stąpa...“

Ale już się poznali. „Salve, bracie!“ — mówi Duch-Stańczyk, uderzając w ramię swą parodję filozoficzno-polityczną.

Podoba mu się tu. „Domek mały, chata-skąpa, Polska, swoi, własne łzy, własne trwogi, zbrodnie, sny, własne brudy, podłość, kłam, znam, zanadto dobrze znam!“ A obracając się do swej parodji, powiada: „Szereg dobrych błaznów zszedł, przywdziewamy szarą barwę, koncept narodowy gaśnie.“ Gaśnie? Ba, wolicie spać! Wolimy, odpowiada Dziennikarz i czyni głośną spowiedź z cudzych grzechów, on, który w swej gazetce ma tyle wiar, nagle przedstawia się jako bezgraniczny pesymista, kruk kraczący śmierć powszechną, jako odwrócenie chochoła, nie krzak róży przybrany w słomę, ale snop dawno wymłóconej słomy przybrany dla omamienia w róże.

„Zaśpiewałeś kruczy ton,
„tobież tylko dzwoni w głuszy
„pogrzebowych jęków dzwon...“

A przecież otrzymaliście dzwon życia, dzwon Zygmuntowski, aby wam bił na tryumfy, na zamiary, na poloty. Pamiętam jego narodziny, jego wywyższenie!

— „Siedziałem u królewskich stóp
„królewski za mną dwór,
„synaczek i kilka cór,
„Włoszka—a wielki chór
„kleru zawodził hymny
„a dzwon wschodził.
„Patrzali wszyscy w górę
„a dzwon wschodził,
„zawisnął u szczytów
„i z wyżyn się rozdzwonił,
„kołysał się górnie,
„wysoko, podchmurnie,
„a tłum się wielki pokłonił,
„pojrzałem na króla,
„a król się zapłonił...
„Dzwon dzwonił...“

A toć on nam tętni dziś, gdy grzebiemy kogoś drogiego, odpowiada z goryczą Człowiek-Stańczyk. Ha, dzwon życia zmieniliście w dzwon śmierci. Społem trzeba, społem z tego wszystkiego! Społem? — zapytuje Człowiek-Stańczyk, wszak:

„społem—to malowanka,
„społem—to duma panka,
„społem—to chłopskie w pysk...“

Eh, asan prawi jako najwalniejsi gębacze! Bierz no asan ten kaduceus błazeński, mąć nim narodową kadź! Kłam sercu, nikt nie zrozumie, serce truj, głowę trać, mąć, mąć narodową kadź!

I znika.

Ale czyż wszyscy mają serca jak „pusty dzwon“, czyż nikt nie przemawia uczciwiej, nie chce być szczerze ze swoją społecznością? Och, są tacy! Jest poeta, ten, któremu śni się jakiś chłop „qui amat“, jakiś skalisty bohater, jakiś heros, który, gdy jęknie, to po całej Polsce jęczy, to po wszystkich borach szumi... Jakiś ogromny człowiek, jakiś polski święty...

I zjawia się przed tym poetą ów „qui amat“, o którym mówiono „polegaj na nim“. „Służ mnie, biorę cię przemocą“, mówi do Poety. „Wiesz, czem mogłeś być? Zwiastunem!“ A czem się stałeś? Ty już życia w mej twarzy nie dojrzysz. Podnieś przyłbicę, dla ciebie twarz moja tylko trupia... Tem się stałeś, tem się stały twoje oczy, rzekomy Zwiastunie...

Poeta budzi się. Nie, precz z tą małością! Szukać, szukać tego rycerza „qui amat“, snuć jakąś pieśń bohaterską, snuć ją ogromnie. Będziesz sonet pisać, czy oktawę?“ zapytuje go pan młody... Nie, po stokroć nie! krzyknął Poeta... Jakto, nie? Miałżebyś ty chcieć coś więcej, niż poemat?..

Piekło żywe w tej chacie, w tym zaklętym dworze, w tej szopce pełnej staropolskich figurek...

Hurra! Nowy duch wali, hetmański duch, jak on zły pan z „Dziadów“. Zdrajczy hetmat Branecki! Czołem! Na piekło go stać! On się zjawia lekkomyślnemu, zjawia się jako przestroga lekkoduchowi, „co się czepił chamskiej dziewki“, który się „narodowo bałamuci“...

Za nim nowy duch, nie pański, choć piekielniejszy! A pojawia się temu galicyjskiemu chłopu, który, nie znając historji, nie wiedząc, jak się to wszystko odbyło, niekiedy na zgromadzeniach wyborczych, na wiecach, zjazdach, grozi powtórzeniem 1846 roku... Zjawia się Szela, ówczesny przywódca-rezun. W koszuli zgrzebnej, cały umazany krwią; gdzie stąpi, pozostają krwawe ślady. Oczy obłędne latają w trwodze na wszystkie strony, na piersi

ma odznaki honorowe. Cha, cha, cha, cha! On ma prawo tu przyjść...

„Dajcie bracie kubeł wody,
„Ręce myć, szaty prać,
„Nie będzie znać...
„Chcę mi się tu na weselu
„Żyć, hulać, pić...“

Ma prawo, och ma prawo! On był ich ojcom kat a teraz im swat i brat! Oni wszystko zapomnieli, oni przebrali się w chłopskie sukmany, mienią się chłopskiemi kolorami, „robią historję“ za pomocą sukman, zawiązek, bajecznych kolorów... Ojców ich, tak, piłą rżnęli, oni wszystko zapomnieli... Kłamstwo! Nic nie zapomnieli, bo nic nie pamiętali... Oni się tylko narodowo bałamucą... Więc:

„dajcie, bracie, kubeł wody,
„ręce myć, szaty prać,
„Nie będzie znać...“

Kto robić chce historję? Kto? Ludzie, którzy nie odróżniają fantasmogorji od rzeczywistości? „Precz z marzeniami“, słychać głos potężny! „Panowie, żadnych ułud!..“ Cicho, sza, już Szela uchodzi... Lezie nowe widmo, żywe widmo...

Nos lezie, Nos z flaszką w łapie. Nos ma dobry nos! Oho, wie co i jak! A chwila właściwa. Trzyma flaszkę w łapie i mówi: przyszedłem z jednej nieskończoności i idę w drugą... Gdzie on to powiedział? Niewiadomo, ale już jest odłam młodzi, który jak on chwyta flasze i powtarza: przychodzimy z jednej nieskończoności i idziemy w drugą... Szopen gdyby żył, toby także pił... A reszta? A kysz, a kysz! Après nous le déluge...

Hola, cały dworzec trzęsie się od duchów, polecieliśmy na lep poezji! „Odbywa się wielkie darcie piór wszelakiego drobiu...“ Chata stała się rozkochana w polsko-

ści, dzieje się, jak w „Dziadach“, żar „co się duchem udziela, co się na pewietrzu spala jak garść lnu“.

Jeszcze jeden duch przybywa, inny, o którym nad brzegami Wisły właściwie nie słyszano, tradycja czysto malarska i czysto literacka, jeżeli myślową spuściznę tego rodzaju tradycją nazwać można. Przybywa ów z obrazu Matejki i powieści Czajkowskiego Wernyhora, pan, dziad, lirnik. Przybywa z buławą, złotym rogiem: koń kuty złotemi podkowami; prowadzi go za cugle Archanioł.

„Teraz, panie Włodzimierzu,
„pomówimy o przymierzu...“

I rozpoczyna się scena, którą najwłaściwiej byłoby nazwać: supozycja. Tak dzieje się we śnie. Przypuśćmy, mówią bodźce — a sen stwarza obraz i człowiek bierze go za tajemniczą wskazówkę losu, wzywa znahorów, aby mu znaczenie snu wytłumaczyli...

W tym wypadku zadanie krytyka polega nieco na tem, aby być znahorem...

Trzeba ów sen wytłomaczyć... Zabawne, a jednak tak jest!

Pan Włodzimierz malował obrazy i zdawało mu się, że robi coś więcej, niż obrazy. Zamieszkał śród piastowskiego chłopa i zdawało mu się, że czyni coś więcej, że spełnia jakąś misję. Więc sen go okropnie karze. A w tym śnie, oprócz obrazów, snuje się jeszcze historjozofja, ostra, zgryźliwa krytyka mniemań, haseł, przywilejów, rojeń. Co malowałeś, oblecze się teraz w rzeczywistość. Mówiłeś: brak hasła. Otóż przypuśćmy, że padnie takie hasło. Co ty z niem wtedy uczynisz. Czy nie przestraszysz się go? Czy nie będziesz za mały na to hasło? Czy nie ugniesz się pod brzemieniem takiej misji, która ci się śniła przy stalugach? Tak, supozycja. Przypuśćmy, że przyjeżdża do ciebie, do Bronowic, jakiś Wernyhora, że daje ci złoty róg, że daje ci hasło. Wszak ty, szlachcicu-malarzu, miałeś ongi jedy-

nie prawo do haseł, do złotego rogu. Panowie, panowie, panowie! Wasze ręce zabrały złoty róg, one tylko nosić go były godne, wasze usta miały się tylko przykładać do jego wylotu i dąć hejnały ideowe, wasze płuca tylko zdolne były, według was, zgromadzić w sobie tyle powietrza, aby w jakiś złoty róg zadąć. A teraz? Teraz jest supozycja. Przypuśćmy, że tobie, panie Włodzimierzu, dadzą nagle taki złoty róg. Co ty uczynisz? Zwrócisz się błagalnie: do jakiegoś piastowskiego Jaśka i będziesz wołał błagalnie; Jasiek, moje płuca za słabe, Jasiek, moja ręka za bardzo mała, Jasiek, bierz, iść w czworą świata stronę, dmij, Jasieczku o pawich piórkach u czapki...

Sąd, sąd, weselny sąd!

Tak, tak! Snuło się to jak marzenie: jak gorączka, jak szumienie organu, marzenie malowane... Podły kłam! Tobie, panie Włodzimierzu, chodziło tylko o nastroje! Orły, kosy, szable, godła, pany, chłopy, chłopy, pany, pany, wszystko była maska podła, wszystko było — nastrojem!

Ale nie na tem kończy się pełna straszliwej ironji supozycja. Przypuszczajmy dalej! Przypuśćmy nawet, że przybycie Wernyhory i złoty róg wywoła jakiś ruch w „szopce“ między figurkami. Sen woła z jakimś obcym poetą: „Jam czynem twoich myśli!“ Napełnia się izbica weselna chłopstwem, które nigdy w pół drogi nie staje, czy do bohaterstwa, czy do zbrodni. Przypuśćmy i to nawet, przypuśćmy, że nawet ludzie prości będą chcieli zostać „czynem tych myśli“. Co pocznie pan Włodzimierz? On, jak na „Weselu“, zbudzi się przerażony z marzeń, ze snów, przetrze oczy z przerażeniem na tę „wielką rzecz“... Złoty róg? Wernyhora? To były... tematy malarskie, a oni nagle chcą z nich zrobić rzeczywistość. Przeto okropna prawda odzywa się z ust chłopa w słowach:

„pon ino widzisz pchły,
„pchły, świecidła, rosę, ćmy...“

Sąd, sąd, weselny sąd!..

Ale przypuśćmy, że i z tego się otrząsnął. Suponujmy dalej. Mamy tedy nowy obraz sceniczny.

Izba weselna natłoczona. Wszyscy oczekują czegoś wielkiego. Po powietrzu krążą stada kruków; to znak, że ciągną już jakieś gromady ludzkie. „Jutro“ marzone nadchodzi. Jakie myślowe przygotowanie. będzie wobec tego marzonego „jutra“? I znowu okropna ironja. Włodzimierz-Gospodarz nie rozumie rzeczywistości, marzy wciąż i będzie w rozmarzeniu mówił to, co już przed dwustu laty było przestarzałością:

„Słuchajcie, kochane dzieci,
„ażeby to była prawda,
„że Wernyhora tam leci
„z Archaniołem na czele...
„że tej nocy, gdy my przy muzyce,
„tam kędyś, stało się tak wiele,
„że Kraków ogniami płonie,
„że Matka Boża w koronie
„na wawelskim zamkowym tronie
„siedząca manifest pisze...“

Tak, to trup z przed dwustu laty mówi, lalka dobyta z pudełek sukiennicowych i w ruch puszczona w polskiej szopce! To Konfederatów barskich sięgająca maksyma, dawno przebrzmiała, która ostatni raz zadźwięczała w Słowackiego „Księdzu Marku“, gdzie śpiewa chór: „U Chrystusa my na ordynansie, słudzy Maryi...“ Matka Boska, leniwcy myślowi, będzie wam manifesty pisała?... Śmiech wam, którzy Jaśkom oddajecie do lekkomylnych rąk złoty róg! Cudu czekacie? Czekajcie tedy kamieniejąc, powoli zamieniając się w żywych nieboszczyków, komicznych w operetce, ale tragicznych do obłędu. Kamienieje cała izbica weselna, kamienieje każdy w oczekiwaniu cudu, manifestu niebieskiego...

„Cisza... wtem—tętent...
„Jasiek powrócił...
„On—zgubił złoty róg!“

Gdy pod figurą przejeżdżał, wiatr zwiał mu czapkę z pawiemi piórkami, on naturalnie wobec czapki zapomniał o złotym rogu, schylił się z konia po czapkę. A tymczasem ktoś pod figurą stał, skorzystał z nieostrożności, róg chwycił, ostał się jeno Jaśkowi - sznur!

Pełna straszliwej ironji supozycja! Tak, sąd, sąd, weselny sąd!

I coby się wtedy stało? Ostatnia supozycja, która już wkracza w rzeczywistość. Do Jaśka, który patrzy z rozpaczą na skamieniałych weselników, przyjdzie „racja stanu", ów słomiany chochoł i pocznie mówić:

„Powyjmuj im kosy z rąk,
„(postaw w kącie, nikt nie znajdzie...)
„na czołach im kółka zrób,
„ze skałek postrzepuj proch
„i ciś je w piwniczny loch,
„lewą nogę postaw w zad,
„zakreśl butem wielki krąg,
„odmów pacierz, ale wspak,
„skrzypki mi do ręki daj,
„ja muzykę zacznę sam,
„tęgo gram, tęgo gram..."

I chochołowe straszydło, bierze w niezgrabne racie dwa patyki, poczyna sobie jak muzykant, puszcza w wirowy taniec całą szopkę, która marzyła o jakiejś misji...

Poeci, artyści, dziennikarze, radczynie z Krakowa, chłopi, wszystko tańczy, tańczy, tańczy...

Tańcuj, szopa cały rok...

Ale to sen. Ale to supozycja. Więc powoli zaczyna dziene światło napływać do izbicy weselnej, czyni się ranek, czyni się rzeczywistość, supozycja się kończy i mamy znowu czwarty dzień wesela owego zwarjowanego poety, który ożenił się z chłopką, o czem gadano po wszystkich miastach, po wszystkich dworach... I znowu się robi zwyczajny dzień naszej społeczności... Znowu jest wesele w Bronowicach, a kiedy nadejdzie wieczór czwartego dnia,

może zaklną znowu wszystkie „wciórności", może te mary znowu napłyną, znowu ich będą nękać, może znowu weselnicy będą snuli sen jak gorączkę, jak szumienie organu...



Tak, ale któż jest ten Chochoł, to słomiane straszydło, ten na początku tam za oknem moknący w słomie krzak róży zawiędłej, wyśmiewany, tytułem żartu wezwany na wesele, który się jednak na tem weselu porządnie rozgospodarował, że wszystkiem rządził? Powiedzieliśmy: „racja stanu". Powiedzieliśmy to mimochodem. To nie jest wytłomaczenie, tylko aluzja.

Sięgnijmy do samego dzieła. Sięgnijmy do innych dzieł. Sięgnijmy wreszcie istotnie do tak zwanych tradycji t. j. do tej nieuchwytnej przędzy, która po za słowem pisanem snuje się w naszem życiu od kolebki do grobu...

Więc krzak róży, owinięty w słomę przed chłodami jesieni i mrozami zimy, aby ją przetrwał i doczekał nowej wiosny.

„Kto ma w sobie zapach róż,
„Owiną go w słomę zbóż
„A na wiosnę go rozwiążą
„I sam odkwitnie..."

Ale nim odkwitnie, jak wygląda? Jak ten chochoł, którego lada Izia nazwie śmieciem...

W poemacie Słowackiego „Lambro" czytamy następujące słowa:

„Tak Egipcjanin w liście z aloesu
„Obwija zwiędłe umarłego serce,
„Na liściu pisze zmartwychwstania słowa..."

i serce „od zepsucia się zachowa; a gdy godzina wybije..."

Jesteście jako ziarna leżące w ziemi pokrytej śniegiem

i lodem, mówiono nam zawsze. Ale gdy przyjdzie wiosna ludów...

Ten krzak róży, owinięty w chochołową słomę, staje się symbolem tej idei, owiniętej w futerały zabezpieczające, tej idei, odłożonej na przyszłość, symbol mumji, których cały rozum polega na tem, aby położyć palec na ustach i mówić Salomonowe: sza...

Sza, zima, czekać, słuchać, a tymczasem... tańczyć...

I oto wyrok sądu, sądu, weselnego sądu!.. Słuchajcie, wstać, wszyscy wstać, czyta się wyrok:

— Chochoł wami, panowie, rządzi, śmieć, którego tak nazwie lada dzieciuch, a z którego zrobiliście wielką rację stanu...

— Słudzy chochołowi, szopka bezgraniczna, kolorowa szopa, figurki, podłe maski, pełne nastrojów...

— Genjusz życia, dawny krzak róży, wołał wam: hej ramię do ramienia, wspólnemi łańcuchy opaszmy ziemskie kolisko...

— A wasz dzisiejszy genjusz życia, wasz chochołowy upiór, rzuca na was czar, przygrywa, woła: sza, miałeś chamie złoty róg, ostał ci się tylko sznur, więc — tańcuj, szopa cały rok!..

Wyrok odczytany, rozejść się, poskładać figurki do pudełek Sukiennicowych — a kogo stać, niech sobie nad tem pomyśli trochę...



Mój przyjaciel reporter, który wszystko wie i dlatego z pomiędzy wszystkich reporterów jest jedynym moim przyjacielem, doniósł mi, że Wyspiański, napisawszy „Legion“, przesłał go do wystawienia Pawlikowskiemu. A Pawlikowski odpisał mu ze Lwowa mniej więcej w te słowa:

— Dramatu pańskiego nie wystawię, bo u nas istnieją tylko cztery osoby, które mogłyby go zrozumieć

ja, jako dyrektor teatru, pan jako autor, Krechowiecki i Sienkiewicz.

Czterech? Nie, to tylko cztery omyłki.

Tak, Pawlikowski myli się tym razem aż cztery razy, to jest tymczasem trzy razy, bo czwarty raz my sami omylić się możemy.

Najpierw myli się co do siebie. Bo gdyby był „Legion“ zrozumiał, byłby go niezawodnie wystawił.

Następnie myli się co do Krechowieckiego. On jako c. k. starosta jako okrojczy sztuk teatralnych w drugiej instancji w duchu Badenich, Potockich i Puzynów, jako zarazem krytyk i powieściopisarz, jest wprost obowiązany wielu rzeczy nie rozumieć.

Następnic Sienkiewicz. On zrozumiałby może, gdyby chciał. Ale na to czasu niema. Zajęty od kilku lat pisaniem powieści dla „Biesiady Literackiej“ p. t. „Na polu sławy“ może sobie podrwiwać z nowych sław. To wszystko będzie dla niego raz „rują i porubstwem“, a drugi raz? Poczekajmy na nową ankietę, to się dowiemy.

Czwarty zaś? To Wyspiański. Ale to właśnie nasza rzecz. Zbadajmy, jak Wyspiańskie „Legion“ rozumie.

Tu my możemy się omylić. Ale nam wolno. Pawlikowski bowiem z góry to przypuszczał...



Są artyści, którzy posiadają tajemnicę rozwiązywania z ogromną łatwością tematów, uchodzących wprost za nierozwiązalne.

Ot, weźmy takiego Biegasa i jego rzeźbę „Szopen“. Jak tu wyrazić to natchnienie, tę dziwną muzykę, która podbiła cały świat, tego kompozytora, mistrza fortepianu, tego magika, który dusze zaczarował?

W każdym z nas powstaje jakiś mglisty jego wizerunek, okolony legionami widmowych postaci. Artysta musi walczyć z naszem indywidualnem pojęciem, zwyciężyć je, narzucić nam swoje.

Biegas wywiązuje się z tego za jednym jakimś genialnym zamachem. W płaskorzeźbie jego Szopen jako człowiek będzie najmniej oczy nęcił; ale za to będzie tam wszystko, co Szopen zrobił.

Schylona postać, grająca na klawikordzie ludzkich rąk. Każda ręka osobny świat. Wszystkie te palce ruszają się, grają, każda ręka wyraża osobną duszę. A z płaszczyzn płaskorzeźby wynurzają się twarze rozśpiewane, rozpłakane, rozjaśnione uśmiechami, śpiewają, wszystko śpiewa, glina śpiewa...

Tyle pomników Mickiewicza a żaden nie zadowolnił widzów! Każdy Polak bowiem miał w duszy swej Mickiewicza większego, potężniejszego, oryginajniejszego. Nagle Wyspiański porywa się na dzieło szczególne, w którem wprowadza jako bohatera, jako żywą istotę—postać przez pół realną, bo żyła niedawno, bo grzebaliśmy ją niedawno—a jednak postać już mityczną, mityczną z powodu swej wielkości.

„Farysa Farys niech wytłomaczy“ mógłby tu za Balińskim powtórzyć Wyspiański.

Ale nietylko Mickiewicz ukazuje się w „Legionie“. Widzimy także Krasińskiego, widzimy dwóch papieżów, widzimy Matkę Mokrynę Mieczysławską i tę u Słowackiego bezpośrednio przedtem przeczytać musimy, nim weźmiemy się do „Legionu“.

Kiedy stawiano w Warszawie pomnik Mickiewicza, miał jeden z przedstawicieli sędziwej opinji publicznej wyrazić się:

— Nie chciałbym widzieć Mickiewicza w Warszawie z epoki „Ody do młodości“.

Nie znał on widocznie życiorysu wieszcza naszego. Nie wiedział tedy, czego pragnął. Ale artysta go zrozumiał. Chcąc zadość uczynić temu, dał Mickiewicza właśnie z okresu „Ody do młodości“, choć o jakie dwadzieścia kilka lat starszego.

O cóż to chodziło? O wielkość. Lękano się wielkości Mickiewicza. Chciano tę wielkość zmniejszyć do ram dystylowanej „sztuki dla sztuki„. Chciano zapomnieć o człowieku, choć się o „czystości jego charakteru“ tyle mówiło Chciano orła przedstawić bez szponów i bez skrzydeł.

Człowiek przeciętny zaczyna zwykle życie swoje bardzo górnie; w połowie biegu lot zniża a kończy bardzo -- przeciętnie.

Człowiek wielki zaczyna życie nieraz bardzo przeciętnie, ale potem wzbija się coraz wyżej i kończy na szczytach.

Tak było z Mickiewiczem. W młodości jego trudno się właściwie dopatrzeć tych cech tytana, które się dopiero potem rozwinęły. A może dla badacza najciekawszym jest ów okres najmniej publiczności szerokiej znany i niemal z ubolewaniem wspominany, kiedy wszystkie dzieła były już napisane, kiedy Mickiewicz stał się politycznym mistykiem, kiedy zbierał ów legjon, kiedy wedle zdania wielu umysł jego rozpadał się w ruinę.

W starożytnym Rzymie, cichą nocą księżycową, na ławach olbrzymiego Collosseum, duma dwóch pielgrzymów. Jeden ma twarz Mickiewicza, drugi Krasińskiego. Waląca się w gruzy starożytność szepce im swoje tajemnice.

Stoim synowie Północy
w okolu zmarłego świata,
Cezarów wszechmocna Pycha
z pod stropów, ze złomów jęka,
słów echem przewrotnem dźwięka,
w cyprysach żałobnie wzdycha,
otoś była wielka...
Dziś cicha;
jeno słów echem głaz dźwięczy,
Roma Cezarów dziś klęczy
Jak Westalka świętego kielicha,
Schylona nad grobem brata.

Tam, za Alpami, europejskie ludy „prą się mętną falą“, a oni, wieszczowie, zatopieni tu w przeszłości klasycz-

no-chrześcijańskiej. Domu narodowego ściana drży od uderzenia gromu a oni nie słyszą.

Coraz dalsze zajmuje koliska
światłość księżyca bladawa,
cisza płodna w przesądy, zjawiska...

Cisza? Nie! Śród krużganków, strzaskanych kolumn, chodników, głos jakiś jakby podziemny, wielki, do zbliżającego się gromu podobny, woła, woła ku nim, budzi ich, budzi na zwaliskach dawnej wielkości historycznej.

„Synowie, synowie moi...“

Kto to woła? Kto ich budzi? Sława? Słowo? Logos? Slava? Sława-Logos?

Woła, słysz, po głazach kroczy,
jej oczy, pojrzy w twarz, jej oczy,
niewstrzymana Potęga i Moce...

. . . .

Gdzie droga?
U tych podwoi...

Biegną, biegną... Zapóźno?.. Zapóźno!.. Głos przebrzmiał, dzieje popłynęły torem swoim... Ale w sercach głos ten woła wciąż, spokoju nie daje. W klasztorze Trinità di Monti Matka Mokryna i Wanda Kuszlówna szyją dużą chustę szkarłatną, Słychać stukanie kilkakrotne. Wchodzi ten, którego przeczuwano. Znowu ma oblicze Mickiewicza.

Matko najmilsza przyjm syna,
na krzyż cię oto zaklina,
koło mnie przepaście odmętu...

. . . .

Synu, jesteś duszą chory...

. . . .

Łaski, jestem duszą chory...
Modlitwa moja daremną,
Boga nadewszystko winuję...

. . . .

Odgaduję, odgaduję,
w pustkę, w noc zaszedłeś ciemną...

. . . .

Niepokalana —
zbaw duszę...

Znika obraz. Ukazuje się cela księdza Aleksandra Jełowickiego. Wchodzi pielgrzym z twarzą Mickiewicza.

Burzami powalon
Mój duch, jak kolumny Romy
strzaskane...
Bądźmyż bracie sercem prości,
Do Jeruzalem lgnę, do Stolicy...
...... Podejmuję męczeństwo,
Rozbudzę duchowe Słowieństwo...

. . . .

Więc przyszedłeś żalić się do Boga?

. . . .

By się moja rozjaśniła droga...

Ukazuje się kwirynał; rok 1848, wielki rok; światy jedne mrą, drugie się rodzą.

Na tronie Pius IX. Na czele deputacji pielgrzym z twarzą Mickiewicza.

Oto czasy powołania,
czas czynu, czas działania,
czasy ludów zbratania...

Wszystkich oczy obracają się na nich. Nawet papież patrzy w dół zdumiony. A chór śpiewa:

Oto prorok, prorok obudzony...

Pielgrzym z twarzą Mickiewicza rozpościera szkarłatną chustę przed Namiestnikiem Chrystusowym.

— Błogosław...

A w olbrzymich nawach bazyliki Piotrowej rozbrzmiewa chór hymnem:

Oto prorok, prorok obudzony
z ust jego płomienna mowa...

Nie, nie pora! „Jakoż mnie przy waszem Słowie stanąć?“ Żyjecie pragnieniem cudu. Nie dla was z mojego sadu owoce...

A wieki, wieki cierpienia?.. „Jesteście jako są inni... Chcemy znaku krzyża na drogę... „Krzyża?..“

Tam za Alpami „ludy się kędyś prą mętną falą“ a tu ty, olbrzym, błagasz krzyża nieprzejednanego?..

Wtedy w wyniosłej kopule Piotrowej zaczyna się dziać coś nadzwyczajnego. W purpurowych blaskach zachodzącego słońca ukazują się litewskie boginki, świtezianki, guślarze. Z głębi bazyliki biją dymy kadzideł, hymny modłów, śpiewy litanji a tam w górze patrzą, chyląc się w dół, świtezianki, boginki, cały zamierzchły świat litewski! A od Trok jedzie król Mendog na białym koniu Cały ten świat, oblany purpurą zachodzącego słońca, chyli się z kopuły w dół do kościoła, wyciąga ręce do onego pielgrzyma z twarzą Mickiewicza, wołając:

Ty nasz...
Szaleństwem krzyża szalony,
Wróć, wróć, ty nasz,
nas swoich znasz,
my tu za tobą śli...
Wróć, wróć do chat,
przypomnij czar
guślarskich wiar,
przypomnij szept od błoni
powiewy brzóz...
Wróć, wróć, ty nasz!
Król Mendog jedzie,
litewski król Mendog od Trok,
O patrzajcie, patrzajcie dzieci...

. . . .

Nie widzi, nie widzi Mendoga,
szaleństwem krzyża szalony,
zagaśnij słońce, zagaśnij wielkości,
gaśnijcie a kysz a kysz,
dzwony, kościelne dzwony...

Zrywa się burza dzwonów, kadzidła zakrywają głąb bazylikową, purpurowe światło w kopule ćmi się, ustępuje, a cały ów bajeczny litewski świat w mroku gaśnie, rozpływa się jak mara...

Krzyż zwyciężył.

Na Kapitolu rozbrzmiewają okrzyki: „Altissimo, altissimo poeta!" Ludom przewodzi Demos. Precz proroki, krzyże, sztandary! Wielki poeta, czczony przed chwilą, ukląkł i płacze. Demos wyciągnął dla siebie wszystko z tego ogromnego 1848 roku. Już mu krzyże niepotrzebne, wiary niepotrzebne, obeszło się bez cudu.

Na Forum Romanum Demos poczuł jednak, że 1848 rok jak morze ma podwodne rafy, o które może się rozbić nawa republik. Cezar sięga dyademu. Przez tłumy przedziera się Brutus-Mickiewicz. Ty śpisz Brutusie? rozlega się z lewej strony. Na rydwanie wjeżdża Cezar z twarzą Napoleona I. Podchodzi do niego Mickiewicz-Brutus. „Cezarze zakryj twarz". Cezar wiedzie u rydwanu skrępowaną Niewiastę-Wolność. Brutus przecina jej więzy. Wtedy Wolność siada na Cezarowy rydwan, rusza przez tłumy, zaczyna je tratować. „Przez tłum, przez tłum, przez tłum, stratuję i stanę u bram!" Deptasz ludzi? Tłum! „W szalonem ręku broń!" Uciekajcie, Wolność tratuje, tratuje, tratuje!"

Nie, Mickiewicz-Brutus nie tak śnił ten 1848 rok! Pójdzie szukać Nowego Jeruzalem, zbierze swój legion, swoich dwunastu, będzie głosił inną „dobrą nowinę".

Przysiedli na Via Appia. Długa, nie kończąca się droga wśród grobowców, sarkofagów. Cyprysy stoją jako grobów strażniki. Słychać godziny uderzane na dalekich zegarach.

Za nami już święte miasto...
w trudach zejdziem ludy, ziemie,
szukając Jeruzalemu...
O Jeruzalem nowa,
dążym ku miastu nowemu

do Światła dążym nowego...

. . . .

Dobądźcie chlebów co macie,
i ryb...

Ostatnia wieczerza. Poznajemy Cię po świętym znaku. Po chleba rozłamaniu. Mistrzu, oto cudów i przemian godzina!

Uczyńcie ślub! Żegnajcie się z Nadzieją, zaprzysięgnijcie wytrwanie, pamięć o was zaginie, ale pozostanie wasza WIARA a wstanie nowe Jeruzalem!..

Spełniło się.

Po wielkich wodach, na symbolicznej łodzi, z dwunastoma uczniami swymi wypływa Mistrz na podbój duchowy świata. Przykuł ich ręce kajdanami do łodzi, do obowiązku, ha, oni sami się skuli przysięgą. Sami odrzucili od siebie precz wszelkie człowieczeństwo, zerwali wszelkie węzły wiążące ich z światem, odrzucili wszelką miłość ziemską, miłość ojców, matek, braci, sióstr, kochanek, płyną do nowego Jeruzalem, żyją jeszcze tylko dla jakiegoś nowego Jeruzalem...

Ale wody pełne zwłok, trupów. Szatany unoszą się nad wodami i mamią oczy uczniów. Mistrzu, tam z fali wychyliła się głowa mego starca ojca, ratować go muszę!— Nie patrz do wód, nie zdradzaj sprawy! — Spojrzyj, syna mego tam widzę pogrążonego śród fal, matkę widzę, żonę tonącą! – Nie patrzcie, kłamliwa was miłość urzekła, przysięgaliście na śmierć i na mękę! — Odprzysięgamy się, na śmierć nas zawiodłeś i mękę!— Niegodni, niegodni istnienia! Cóż ręce wasze zdziałać mogą?

Załoga się buntuje przeciw Mistrzowi. Mistrz grozi im zagładą. Nie, z takiem pokoleniem nie przepłynie fal świata! Ono całe wyginąć musi. Zwartwychwstaniecie młodzi — woła Mistrz, podpalając maszty, niszcząc nawę, którą sam zbudował.



Tak. Od 1848 roku historja potoczyła się innemi szlakami. Mickiewicz uczuł się w świecie osamotnionym. Ludzie idei mesjanistycznej zeszli z pola. Świat się ich lękał, o ile ich przedtem potrzebował. Wolność, której oni rozcięli więzy, siadła na rydwan i poczęła tratować. A garstka tych dawnych idealistów poszła w świat szukać swego wymarzonego Jeruzalem.

Ale i ta garstka topniała z każdym rokiem, aż wreszcie u nas zawiędła w krzak róży, owinięty w słomę chochołową...

To też daty wskazują, że „Legion" był napisany przed „Weselem".



Kiedy zatem w epoce „Legionu" sternikiem symbolicznej łodzi był Brutus-Mickiewicz, żądający gigantycznych wysiłków, aby przez morze świata dopłynąć do jakiegoś Nowego Jeruzalem — —

W epoce „Wesela" Chochoł zajmie jego miejsce, będzie na patykach wygrywał, aby polska szopa puściła się w błędny taniec...

Ale do tej myśli Wyspiański powróci raz jeszcze, sformułuje ją inaczej, oświetli z innej strony, aby była wyraźniejszą.

I napisze „Wyzwolenie"— —



Ale i tu posłuży mu znowu przypadek. Znowu stanie się coś takiego, z czego on po swojemu skorzysta.

Wystawią w Krakowie Mickiewiczowskie „Dziady", wystawią je w scenicznym układzie Wyspiańskiego. Więc Wyspiański przejmie się tem, jakby się przejął sam Mickiewicz. Wszak jego „weselnicy" zejdą się do krakowskiego teatru, będzie ich tam miał wszystkich, będzie czytał wrażenia na ich twarzach. Przekona się, jak aktorzy poj-

mują swe zadanie, jak je pojmuje reżyserja. Zastanowi się nad całą literaturą w porównaniu z „Dziadami". Wielka chwila: Konrad w Krakowie! Jak go przyjęli? Jak go powitali? Co się od niego nauczyli? A może kazali mu iść napowrót do trumny? A może on sam od nich uciekł?

Gustaw Konrad w Krakowie!

Wprost nie do uwierzenia...

To tak, jak gdyby nagle pewnego dnia sam Mickiewicz zjawił się w krakowskiej radzie miejskiej i zabrał głos w kwestji kanalizacji. Bo innej kwestji niema na porządku dziennym. Ale odbiegł od tematu. Więc go może przewodniczący napomni...

Znowu odbiegnie od tematu. Nie może jakoś mówić na temat porządku dziennego. Powstaje hałas, przewodniczący dzwoni. Nie, ten Mickiewicz tylko przeszkadza...

Konrad-Mickiewicz w Krakowie!..

A może na wyborach? Za kim będzie głosował? Oblegną go maski, będą mu polecały różnych kandydatów, będą mu mówiły o potrzebach galicji. Będą mu może tłomaczyły, że wolą go w okresie „Ody do młodości..."

Konrad-Erynnis w Krakowie! Nie, bo Konrad, otoczony czcią ojców społecznych, i Erynnis, który musi przeciw tym ojcom występować—Konrad-Erynnis w Krakowie to jak król, który przeciw sobie samemu robi rewolucję...

Gdy się zważy to wszystko i gdy się czyta o powodzeniu „Wyzwolenia" na krakowskiej scenie, przyznaje się słuszność Wyspiańskiemu, że teatr to istotnie „pułapka na myszy!"

Ale w pułapkę Wyspiańskiego złapie się nieraz nawet ogromny szczur...



Ach, bo mamy dwóch Mickiewiczów...

Nie łódźmy się. Tak, dwóch.

Bo i Jokaj świetnie zauważył w jednej ze swoich powieści, że mamy dwóch Chrystusów, jeden, ten prawdziwy, ten w sercach i na ustach dobrych ludzi, który przyszedł pocieszyć Łazarzów; i drugi, przez Faryzeuszów sfałszowany, którego różni kłamcy biorą na swoje usta, którego ciągle i nanowo przybijają do krzyża.

Tak samo mamy dwóch Mickiewiczów. Jeden Mickiewicz to ten, który jest na ustach wszystkich Prometeuszów, wszystkich Konradów — a drugi, to Mickiewicz krakowskich radców, członków lwowskiego towarzystwa społecznej straży pożarnej, warszawskich ojców, którzy cierpią „lęk za miljony“, Mickiewicz ostróżnych, Mickiewicz ultramontański, Mickiewicz pochodny, Mickiewicz sfałszowany, genjusz wszechprzebaczania, wszechniezaczynania, Mickiewicz na biało, o którym powiadają, że dał jedno tylko przykazanie: w sercu szukać natchnienia i dążyć do... grobów wawelskich.

Każdy powołuje się na Mickiewicza, już go umieścili nawet na pudełkach od zapałek, na listowym papierze, na mydełkach. Zrobili z niego stróża zapałek, listowego papieru i mydełek...

Więc ten drugi, ten prawdziwy, musi występować przeciwko pierwszemu, przeciwko temu, który „pęta lot olbrzymich ptaków“.

W imię Chrystusa ludzie szli na krzyż i na stos. W imię Chrystusa posyłano ludzi na krzyż i na stos...

W imię Mickiewicza działy się wielkie rzeczy. W imię Mickiewicza działy się także małe rzeczy, gorzej jeszcze: działy się podłe rzeczy.

Jeden, ów Mickiewicz—Erynnis: „Był gwiazdą, gwiazdą stałą, niebios niewolnicą“. A drugi?

...Ten, co wszystkiem włada,
Jako posąg jego postawa,
Jako spiżowe pokrywy
jego ubiór i strój jego: Sława.
Na czole wiecha ogromna

zeschniętej ostu gałęzi,
oblicze jako spiż ciemne...



„Gdzieś przed siódmą wieczorem", kiedy u św. Krzyża kończyły się nieszpory, weszła do gmachu teatralnego szczególna postać. Płaszcz długi, na rękach ogniwa, oblicze Mickiewiczowskie.

Wchodzi na pustą jeszcze scenę. Mroczno. Przy ścianach siedzą robotnicy teatralni, drzemiąc.

Rozgląda się. Nareszcie doszedł, ach, doszedł! Wędrował lat ośmdziesiąt, zmieniał się wielokrotnie.

Był w owej kaplicy guślarskiej a wtedy miał plamę krwawę na młodzieńczej piersi. A potem był u księdza, tam rzucał mu do oczu wszystkie swe żale na osobiste nieszczęście. A potem w klasztorze u kraty szeptał: „Nocy cicha, gdy wschodzisz"... Potem wybuchnął szaloną improwizacją a na czole ukazała się czarna plama. Potem jechał na północ długo, długo... Wreszcie ruszyła fala odwrotna. I on z nią popłynął. Wracał. Aż się zamienił w człowieka współczesnego, który ma z ludźmi współczesnymi mówić, ma ich przekonywać. Ale mimo tylu zmian był zawsze gwiazdą, „gwiazdą stałą, niebios niewolnicą". Nazywa się Konrad. Patrzy na robotników teatralnych, u ścian drzemiących. „Wy pierwsi, których spotkałem", powiada. „Czego żądasz?" pytają się go ponuro. „Służby jednej godziny. Chcę budować i burzyć". Ach, to nam zwykła praca. Co zbudowali nasi ojcowie, my burzymy; co my zbudujemy, zburzą nasi synowie. Służymy ci. Więc najpierw—zdejmijcie mi z rąk te ogniwa!.. I na trzy godziny przedstawienia teatralnego w Krakowie zdejmują krakowscy „ludzie" Konradowi ogniwa, aby mógł w przestrzeni „dwudziestu kroków wszerz i wzdłuż"—jak zapragnie—„budować i burzyć".

Krakowie, natrząsają się z ciebie!..

Ale już biegnie reżyser. Och, zdaleka poznał Konrada! Konrad, romantyzm!.. Któżby nie poznał! Romantyzm przerósł świat... A może jest sztuka nowa? Nie?? Jakto, przybył do Krakowa i niema nowej sztuki? Jakże to!

„Nie! A my mamy wielką scenę,
„dwadzieścia kroków wszerz i wzdłuż,
„przecież to miejsce zbyt obszerne,
„by w niem myśl polską zamknąć już...“

Nadbiega Pierwsza Naiwna sceny, Literatura. Ściska czule rękę Konrada. Poznała! Cóż ty porabiasz, Literaturo?.. Ja?

„...W teatrzykach amatorskich
„grywam markizy i hrabianki,
„za guwernantkę mnie półpanki
„biorą do swoich dworów...“

Leci jeszcze jedna aktoreczka. Kto ty? Ach, Lilla, ta z rodu Wenedów?.. Stale tu zaangażowana?.. A tam trzecia jeszcze nadbiega... Zosia? Córka Popiela?..

Ale ty, Konradzie, z czem przybyłeś? czego chcesz? co zamierzasz?

Działać!

Aha – gestem. Jakto, nie? Przecież jesteśmy w teatrze.

Chcesz Wyzwolin. Z ducha? Czy duch ma pęta!... Ale dobrze. Literatura ułoży to na sceny, sama zagra Melancholję, na początek damy poloneza...

I nawet, Literaturo, nie pytasz, jaka będzie treść?

O, to obojętne! Wszystko polega na — wypowiedzeniu...

A więc strójcie mi narodową scenę, stawcie kolumny, arkady, cały Wawel! Hej tam, Boratyński, Kmita, Sołtyk, dalej część sali sejmowej, stół, karty!

Robotnicy zwijają się, ustawiają kulisy, aktorzy i aktorki w mig się poprzebierali, stają na scenie, już Muza ma dać hasło.

Gdy wtem reżyser występuje, bo ma pewne wątpliwości. Polonez—to mało. Trzeba coś silniejszego. Trzeba: tam-tam.

„Tam-tam“ nazywa się narzędzie,
które w orkiestrze dzwon udaje,
używa się mniej więcej wszędzie,
gdzie się do sztuki dzwon dodaje...
„Tam-tam“ jest w stanie dzwon Zygmuntów
z przedziwną oddać dokładnością,
waży zaś ledwo kilka funtów
i każdy dźwignie je z łatwością,
co uprzystępnia szerszej masie
w teatrze drżeć przy tym hałasie
imitującym nastrój dzwonu
z przedziwną dokładnością tonu...

O! Tam-tam jest daleko właściwsze dla tych teatralnych ludzi od dzwonu Zygmuntowskiego. Uderzajcie tedy w „tam-tam!“ Grzmot, huk tam-tamu, zasłona leci w górę i Muza rozpoczyna:

„Ktokolwiek żyjesz w polskiej ziemi
„i smucisz się i czoło kryjesz
„z rękoma w krzyż załamanemi
„biadasz—przybywaj tu —
„Tragiczną będzie nasza gra,
„wyrzutem będzie i spowiedzią...“

Rozpoczyna się neo-szopka, krakowska szopka, rozpoczyna się od najstarszych figurek, takich ogromnie starych, jakie się przechowały jeszcze tylko w Krakowie...

Dwie laleczki: Karmazyn i Hołysz.

1. Sto lat już jęczym w więzach lwy,
Cóż aspan na to?
2. Świat z nas drwi...
1. Na synów patrzeć serce boli...
2. Na wnuki patrzeć: hańba, tfy!..
1. Ale strój na mnie dobrze leży?

2. Wybornie! Szlachtę po was znać...
1. Daj bracie gęby, dajcie pyska...
2. Niechaj swojego swój uściska...
1. Wiwat Polonia, wiwat my!

Ale na czele swych figurek występuje bardzo duża lalka. Jakiś prezes, w todze, w berecie magnificencji, z siwą brodą, z rysami à la comes a Tarnov. Za nim cały chór.

Prezes mówi:

— Połóżmy rękę na sercu i powolni biegowi wydarzeń patrzmy w przyszłość...

A chór kiwa głowami.

I mówi jeszcze on prezes:

— Niech synowie nasi położą rękę na sercu i powolni biegowi wydarzeń patrzą w przyszłość...

A chór kiwa głowami.

Prezes kończy:

— Tak my jak i synowie, położywszy rękę na sercu, powolni biegowi wydarzeń, zapatrzeni w przyszłość, nie wymawiajmy nigdy słowa: Polska!

A chór kiwa głowami.

Zrywa się krakowski Przodownik-Nacjonalista, cały pomidorowo-czerwony, ogromnie krzykliwy i woła:

— Nie! Podajmy sobie ręce i nic ponad to nie czyńmy, jeno wciąż wołajmy: Polska, Polska!

A chór kiwa głowami.

Występuje kaznodzieja.

— Bracia, woła, szukacie wyzwolenia? Jest jedno jedyne, wyzwolenie duszy z grzechu. Niech ten wasz białopióry, w szpony swe chwyciwszy całą społeczność, uniesie ją białą, nieskalaną wprost—do nieba!

A chór kiwa głowami.

Prymas występuje, Prymas!

— Dzieci! Ja — to Roma, a Roma mówi: sza... Na kolana tedy, na kolana, to jedyne wasze zadanie...

A chór kiwa głowami, wciąż i na wszystko kiwa głowami.

Mało tego. Występuje Apostoł miłości.

— Bracia, wy chcielibyście kogoś nienawidzieć? Miłujcie nieprzyjacioły wasze, tylko miłość was zbawi, bracia, miłość...

I cóż dziwnego, że w tym chaosie zdań, przodowników, mówców, prezesów, znajdzie się zawsze jakiś ojciec i jakiś syn i że będzie miała miejsce między nimi następująca rozmowa:

— Synu, nie słuchaj ich... To są źli ludzie... Mnie słuchaj, chciej tylko wolą moją, patrz na wszystko okiem mojem...

— Słyszę ojcze...

Ale nie! Nie, ojcze! Nie utrzymasz duszy na uwięzi! Przybyła do miasta Harfiarka w łachmanach, ale o złotej harfie. Już struny trąciła, już syna duszę zaczarowała...

„Na tych strunach nanizanych
„serce moje gram,
„śmiej się do mych lic rumianych,
„duszę twoją znam...

. . . .

„W kosodrzewy umajony
„czarny, modry staw,
„ty nad wodą pochylony,
„patrzysz w toń,
„tęskno ci?"

SYN.

Tęskno mi...

Bieży za nią, bieży z całym tłumem młodzieży, rzucają ojców ręce łamiących... A Harfiarka obraca się do tego tłumu: duszę ich wygra, uderzy jakiś akord, straszny akord...

„Zagram waszą skrytą myśl,
„kłońcie się do moich lic..."

Cóż wyśpiewałaś?—A ona uderzając akord ich duszy, nazywa go: „Nic!“

I zwraca się do drugich: „Nic!“ i do innych, uderzając akord ich duszy, nazywa go: „Nic!“

O... o... o.., samotnik idzie, patrzcie: płanetnik, zwany dziś mistykiem: I on idzie wyzwalać. Nazywa się — jak? Czterdzieści Cztery? Nie... Śmiech!..

Jeszcze dąży na Wawel jakiś starzec z dwiema córkami. Wszystkie drogi prowadzą na Wawel. Nekropolis! Tu ta poezja ruin, królewska cisza, sen przeszłości, tak tu dobrze, tak mogilnie...

Mając taki królewski grób, czegóż żądać więcej?.. „Wezwij, Panie, w spokoju dusze nasze...“ Co? Będzie jakiś Nowicki śpiewał: „I przyduszono wszystkie żary łona popiołem naszych mogilników sławnych?..“ Nie, córki, nie słuchajcie tego śpiewu. Powtarzajcie jeno tu, kędy się wszystkie drogi schodzą, kędy polski Rzym: „Wezwij, Panie, w spokoju dusze nasze...“

Bo to i Asnyk zaczął nutę życia od słów: „Trzeba z żywymi naprzód iść“. Ale gdy pomieszkał pod Wawelem, stał się „obrońcą przeszłości“ i zabiadał: „Smutni rycerze przeżytej już chwili patrzą z boleścią, kiedy zastęp świeży...“ . . . .

Sza, starcze, ciszej córki! Jakaś wróżka się ukazała! „Zwiastunką jestem, idzie już TEN, co powiedzie wszystkich was do róż, do zbóż, do kras...“ Gdzie on? Konrad? Anhelli?... Nie wiem, nie wiem... „Może to ty?.. Może to on?..“

Ha, stanął śród tłumu, stanął, już wszystkie oczy na niego się obróciły! Ale czemu taki mrok padł na wszystkie twarze? Czemu uczyniło się tak grobowo dokoła? Kto on? Konrad? Nie, chyba nie on! On jeszcze nie przyszedł, nie mógł, nie zdążył, on jeszcze boryka się z maskami, szuka własnej myśli, jeszcze boju z myślami nie stoczył. To kto inny, to genjusz, genjusz—jaki? Plemienia?

Czy taki genjusz to patron, jakiś duch extra muros,

czy supra muros?.. czy też to suma naszych błędów, ślepot, tam-tamów, porywów, poezji grobów, ruin poezji magicznej, któremu bezczelnie daliśmy imię: Adam?.. Bo tak wszystko skamieniało, jak na „Weselu", gdy zjawił się Chochoł. Ach, więc pewnie rzeknie teraz magiczne słowo, zdejmie smęt, ale chyba nie zagra, nie, jakże, na Wawelu?.. co uczyni, jak zaczaruje, jak wskaże?..

Dźwiga kamienną płytę, wiodącą do grobów, i wskazuje społeczeństwu drogę:

„Tam wielkość, wielkość was woła...
„ta jedna, jedyna droga,
„przez ARTYZM, WIELKOŚĆ i BOGA",
(słowa jednej z paryskich improwizacji)
„zstępujcie za mną w podziemie,
„ta jedna jedyna droga..."

Śmiertelny lęk na wszystkich obliczach, serca przymierają.

Nagle — nagle —

Potężne spiżowe drzwi katedry otwierają się, wbiega z pochodnią Konrad, głosi hasło życia, zatrzasnął mogilną płytę, występuje przeciwko samemu genjuszowi narodu, z nim wojnę stoczyć musi, społeczność go zrozumie, posłucha. Czy zrozumiała? Rozbrzmiewa w stronę genjusza znany chór z Dziadów.

„Śmierć niosłem w twym napoju,
„Zostaw że nas w spokoju,
„A kysz, a kysz!"



Tak, ach, tak!

Na symbolicznej łodzi Brutus-Mickiewicz wiodący do jakiegoś Nowego Jeruzalem nawę przez wody świata. Zginął, zginęli mu podobni, coraz ich mniej, aż wreszcie...

Zawiędli w krzak róży, owinięty w słomę chochołową, który, gdy jego dzień nastał, zamienia się w starostę weselnego, nakazującego tańczyć w imię groźby: miałeś chamie złoty róg, ostał ci się tylko sznur...

A który, gdy znajdzie się na Wawelu, na chochołową słomę wdzieje togę Genjuszu a na chochołą twarz skradzioną maskę Mickiewicza, dzwignie płytę kamienną grobów wawelskich i wskazując ręką w dół powie: oto droga...[1])



Krakowie, ty nie zadrżałeś?..

Owszem. Huragan oklasków zerwał się w teatrze i odbił się nietylko o mury kamienic, ale o mury wszystkich Lwowów i tym podobnych Sączów, jakby powiedział Neuwert-Nowaczyński. Huragan ten odbił się aż o Tatry. A to wszystko działo się, by dowiedzione było, że teatr jest istotnie pułapką na myszy a nawet na szczury.



Noc. Rynek krakowski. Zielone światło zalewa Sukiennice i pomnik milczącego na piedestale Erynnisa. Na Marjackiej wieży rozbrzmiewa hejnał. Po pustej linji A—B kroczy duch Napoleona naszej współczesnej dramaturgji. Właśnie wystawił „Wesele". Śród ciszy rozlegają się daleko jego kroki.

Wtem otwiera się okno na pierwszem piętrze i ukazuje się Papa Magnificus, prezes togatus. Purpurowa szata jego zbielała z oburzenia a twarz spurpurowiała z gniewu jowiszowo-papiesko-hrabiowskiego.

Spojrzał w dół na Napoleona współczesnej dramaturgji naszej i zgrzytnął przez zęby:

— Tradżediante...

---

[1]) Według mego zdania Wyspiański w końcowych strofach „Kazimierza Wielkiego" sformułował jasno to co wyraził szeregiem symbolów w „Wyzwoleniu" i „Legionie".

A twarz Napoleona naszej dramaturgji współczesnej przybrała wyraz anielskiej ironji. Uśmiechnął się i odszepnął w górę:

— Comediante...

W tej chwili strażnik na wieży Marjackiej odegrał hejnał po raz wtóry i oba widma znikły.

Tylko cisza jest a zielone światło księżyca zalewa Sukiennice i pomnik milczącego na piedostale Erynnisa...



Słowacki stworzył nowy typ epepei. „Król-duch“ to epos rozpięte gdzieś w powietrznych przestworach na oblanych krwią zachodu obłokach. Armje widm staczają ze sobą walki. W miedziane niebo jak w tarczę uderzają olbrzymy. Pieśń niedośpiewana. Podobno w jakichś archiwach kryją się jeszcze rękopisy. Podobno... Ludzie lubią piękne legendy. A ta epopeja królewska, ta wizją poetycka Słowackiego, nęci młode duchy, porywa prometeizmem natchnienia, fantazji, szaleństwa.

Widziałem we Włoszech w jednej kotlinie pięć wodospadów. Słońce schyliło się z wyżyn południa a wtedy owe pięć wodospadów zamieniło się na pięć szalejących w dół tęcz. Tylko jedna kaskada grzmiała w dół wstęgą żółtą, druga wstęgą niebieską, trzecia purpurową, czwarta, bo tak słońce chciało, zieloną a ostatnia fioletową. A gdy się tam w dole ten ostatni wodospad rozbił o skały, wstawał fioletowy opar wodny; z drugiej strony wstawał opar żółty, z trzeciej purpurowy...

I powiedziałem sobie: Przyroda temi wstęgami wodospadów pisze poemat Słowackiego!

Cóż tedy dziwnego, że gdy prawdziwy poeta ujrzy jakiś odłam poezji tego wieszcza, to pragnie go dokończyć, dośpiewać. Michał Anioł kompletował stare arcydzieła. Wyspiański—malarz, rzeźbiarz, poeta — już dwa razy próbował pisać dalej „Króla-Ducha“.

Dał nam dwa fragmenty: Bolesława Śmiałego i Kazimierza Wielkiego.

Pierwszy fragment urósł mu potem w królewski dramat. Z drugiego powstał—królewski witraż.



Jest w twórczości poety-myśliciela pewien niebezpieczny moment. Moment ten decyduje, czy źródło twórczości ma wyschnąć, czy trysnąć nowemi potokami. Kiedy poeta-prorok wedrze się na szczyty myślowe i obejmie bardzo daleki widnokrąg, kiedy nad poetą weźmie górę prorok, nad twórcą historjozóf, nad pieśniarzem filozof, kiedy opęta go jakaś „stała idea“, drżyj wtedy, poezjo! Skazówka na godzinniku twórczości zbliża się do fatalnego miejsca, godzina wybije, zostanie patos, poezja uleci!

Taki moment groził u nas niejednemu wieszczowi. Groził Mickiewiczowi po napisaniu „Improwizacji“ i „Widzenia Księdza Piotra“. Gdy rzekł: „dziś mój zenit“, ach, dalej nie było można już iść, tylko „albo jak duch wziąć pióra“ i ulecieć w przestwory, albo w dół runąć. Ale genjusz się otrząsnął i raz jeszcze zszedł do „prostej powieści“. Napisał „Pana Tadeusza“. Lecz drugiej takiej chwili nawet jego genjusz nie wytrzymał. Takiemu losowi uległ również Kornel Ujejski. Taki los groził Wyspiańskiemu jeżeli nie po napisaniu „Wesela“, to na pewno po napisaniu „Wyzwolenia“. Wyżej wzbić się nie było można w przestwory oderwanej myśli, w atmosferę historjozofji, filozofji społecznej, prawdziwej, czy nieprawdziwej, to inna rzecz, ale idei, która groziła „stałością“. Łatwo było w dół runąć...

Ale Wyspiański nawet się nie zachwiał i — zszedł do tej „prostej“ a tak tragicznej „powieści“, którą jest „dramat w trzech aktach: Bolesław Śmiały“.

Uciekł od siebie samego, aby znowu siebie odnaleść Paradoks? A jednak to tak jest.

Może i on jest paradoksem? olbrzymim paradoksem? A może cała twórczość jest paradoksem? Może ten paradoks daje ludzkości najbardziej trwałe szczęście? Roskosz duchową?..

I cóż jest wielkiego w tym „Bolesławie Śmiałym?“ Temat, który już nieraz „opracowano“ śnił się niejednemu; ale w końcu jednemu musiał się wyśnić. Tym jednym jest Wyspiański.

Co mówi historja o zatargu świętego biskupa z śmiałym królem? „Milczeć“ odpowiada na to pytanie jeszcze z grobu Szujski. „Milczeć“ woła cała prasa konserwatywna. „Milczeć“ woła rzymski kler. „Wydrzeć język Maksymiljanowi Gumplowiczowi“ [1] wołają wszystkie dewotki. „Świeczkę pod korzeć“ krzyczą siwowłosi ojcowie. „Spalić kronikę Galla, lub bodaj wyskrobać wyraz *traditor*“ wołają Krotoscy (herbu Szkaradek?) „Nikt u nas przecież nie zajrzy do Bielowskiego: Monumenta Poloniae historica“ pocieszają krakowscy jezuici. „Biskup nie był zdrajcą Polski, ale według Galla zdrajcą Rzymu“ woła młodsze pokolenie pisarzy. „Błotem zapchać usta temu młodszemu pokoleniu pisarzy“ wyją żołdacy Rzymu, którzyby woleli nas widzieć w grobie, niż w niezgodzie z Pontyfeksem Maksymusem. „Szukajcie prawdy jasnego promienia“ woła słabiutkim głosem Asnyk, bo się dławi w ścisku krakowskich historyków (tylko nie „histeryków“ — uwaga dla zecera), „Precz z prawdą“ woła całe pokolenie starców, „bo co się stanie z naszą polityką?“ „Hej, kamieni, błota, on powiedział prawdę“ idzie szept, ach tylko szept, plotkarski szept. „Co słychać w Polsce? Dzwony dzwonią, organy grają, księża śpiewają...“ Ksiądz ma głos, dewotka ma głos, wszelki truposz ma głos, nikt zresztą nie powinien mieć głosu...

Hej, ty mała, ty z naszych pól i łąk, ty z cudnego wierszyka Konopnickiej, powiedz: co słychać w Polsce?

---

[1]) O zaginionych rocznikach polskich z XI w.

Dziewczyneczka otarła fartuchem buzię i odrzekła jednym tchem:

— U naszej Kowalichy krowa się ocieliła, ale do obory wpad Wojtków burek i ciele poszarpał, że ledwo dycha...



Gdybym był rzeźbiarzem, wykułbym w kamieniu następujący posąg. Młodzieniec do pół obnażony, przywiązany do pnia jak św. Sebastjan; przywiązany, skrępowany powrozami. Patrzy w górę strasznym wzrokiem, ale w czole tkwi mu strzała, zatopiona aż po brzechwę; z pod niej patrzy okropnym wzrokiem w górę. Ach, przewiercono mu mózg, zniszczono umysł, zabito w nim myśl. A na piedestale podpisałbym: PRAWDA. U nas ksiądz, dewotka, truposz, tak się obchodzi z prawdą. Zabić ją, zdeptać, oplwać, żeby nie była, albo żeby żyła z przewierconym mózgiem. Taki posąg wyrzeźbiłbym, gdybym był rzeźbiarzem...

Wyspiański nie poruszał tego zagadnienia, to nie było mu potrzebne. Szedł za legendą, za „żywotami". Żywoty te kłamały; ale coś tam było prawdziwe. Prawdziwe było, że biskup reprezentował sprawiedliwość i wolę narodu a król tę sprawiedliwość deptał i drwił z woli narodu. Król opierał się na sojuszu z papieżem, biskup na ludzie; przeto potem było dużo kłopotu z kanonizacją. Ale, powtarzam, dramat tego nie tyka.

Dobrze, doskonale; ale cóż jest wielkiego w dramacie Wyspiańskiego?

Wielkiem bajecznie, nieśmiertelnem w poezji, natchnionem, genjalnem, jest odtworzenie nastroju duszy tego, co się tam wtedy działo.

To są myśli i uczucia ludzi zamierzchłego dwunastego wieku, te myśli i uczucia ludzi dzikich, barbarzyńskich, zabobonnych, myśli i uczucia tytanów zapadłego świata.

Jest to jakaś wizyjna legenda, która niby krwawy obraz gdzieś pod chmurny wieczór ukazuje się na spadach niebios. Jedna scena większa od drugiej, tragiczniejsza. Na tronie siedzi w izbicy swej śmiały, srogi król. Pojawia się orszak mnichów a na czele infułat święty, prowadzący za rękę Piotrowina; chór mnichów śpiewa posępnie:

Wzbroń mu ziemie,
wzbroń mu role,
wzbroń mu siły,
wzbroń mu wole.
Niechaj będzie
poniechany,
ludziom, światom
zapomniany...

Potem gaszą gromnice, łamią i ciskają o ziemię. Odchodzą niby wizja, ta wizja średniowiecznych praktyk, klątwa, anathema. Król opamiętał się, skacze z tronu, korona spada mu z głowy, potoczyła się po kamiennej posadzce...

On, gwałtownik, który karał, palił, ścinał, trony walił i odbudowywał, niewiernym żonom szczenięta do piersi przykładał, on ma ulec biskupowi? Biegnie tedy na Skałkę z rycerzami, którzy drżą, których Krasawica tumani, których przesąd tumani, których zabobon obezwładnia. Ha, więc on sam, sam!

Pobiegł i —

Wrócił.

Ale w zamku straszno. Pustka. Dworzanie i służba gdzie? Wszystko się rozbiegło w popłochu. Ostał się sam ze swoim gwałtem i z temi krwawemi widziadłami, które go teraz nękać poczynają, które go wypędzą z zamczyska na włóczęgę. I przywali jego wielkość ta srebrna trumna, wisząca w powietrzu do dziś dnia na Wawelu. Nie zmoże jej, nie dźwignie się z pod niej, daremne wysiłki, daremne.

Tą trumną przywalił go kler rzymski a nie przywaliłby, gdyby nie była mu pomogła podeptana sprawiedliwość. Ona go zmiażdżyła, ona i wielka legenda ludu naszego. Kler rzymski potem tylko, zmuszony do tego przez głos ogółu, aprobował, wreszcie nawet powiedział: „to ja“. Nie uczyniłby tego nigdy Grzegorz VII, ale już mógł po pewnem wahaniu uczynić Inocenty IV,

Jeżeli niemcy dumni są ze swej starej baśni „Pieśń Nibelungów“, rozpoczynającej się od lapidarnych słów:

,,Uns ist in alten maeren wundersviel geseit
,,Von heleden lobebären, von grözer arebeit“

to dla nas taką STARĄ BAŚNIĄ jest zaiste ów dramat, rozpoczynający się od nie mniej lapidarnych słów:

„Sen miałem taki i w tym śnie widziałem
„rzeczy, ku którym sercem gonię całem.
„Szły widma-ludzie, co miecze dźwigały,
„tarcze ze skóry i ciężkie kawały
„skórzanych zbroic a strojne we świty,
„orszakiem, w łunie kolorów spowity,
„wawelski gród przesłaniały“.

I zaraz potem, niby rozlewna uwertura do Tannhäusera:

„Był dwoızec drewniany z lipowych uwięzi,
„na przełaj sprzęganych przez krokwie dębowe...“

Z okieńców księżyce się patrzą i świecą, w oddaleniu ozywa się róg. Mąż królewski z „rusalną“ dziewicą u boku słucha: ku uszom przystawił ręki. I mówią:

— Na dącym grają rogu.
— Bydło żeną do pola
a może świątlemu bogu
dują hejnał wawelskie duchy.
— Dmą na zamkowym progu.
— Nie pastuch, nie koniuchy, —

czy się jacy zwołują stanicą—?
— Jeśli tam głos odpowie to zdrada.
— Tam od Skałki?
— Słysz...
— Znak odpowiada.

I rozpoczyna się dramat.



Wszystkie przebiegłości średnich wieków, wszystkie zamysły, okrucieństwa, wiary i srogości, wszelkie tragiczne prostactwo i wielkość barbarzyńska, wszystkie kochania i klątwy—przyjdźcie, przyjdźcie! Otrzymacie szaty wspaniałe, dany wam będzie spiżowy głos, mowa raz chrapliwa, to znowu równa gruchaniu synogarlicy, raz jako róg brzmiąca, to znowu jako zgrzyt mieczów, mytych w Wiśle po zabójstwie tego, za którym się opowiedział lud...



Nie lękam się,
nie trwożę się,
mną nie zachwieje strach;
nie wstrzęsie mną,
choć wszyscy drżą
i cały dwór we łzach.
Dosięgnę, choćby chwytał się ołtarzy,
Jestem ten, co na wszystko się waży...



Rozganiasz stadła, płomię w twej koronie,
Krew napój, rzeźne cielsko tobie warza!
Ty karasz mieczem a ślad znaczysz krwawy
przez nasze żółcią przepojone serca;
z głów odrzezanych chcesz składać podstawy

pod węgieł chaty dla się samodziercę.
Bóg na cię włoży znak, żeś jest nieprawy,
że będziesz jako kat, jako morderca!



Tak zmaga się słowy król z biskupem. Zmagają się dwie potęgi, oręża w ręku szalonego i ducha w ciele świętego.

Zwyciężył drugi, ale pierwszy się za to zwycięstwo pomścił. Ironja dziejów odjęła świętemu wielkość a zostawiła patetyczną banalność. Prostactwo modelowało twarz świętego. Ktoś słusznie zauważył (zdaje się, że Orkan), iż na naszych bohomazach wszyscy święci mają twarze głupkowate. To nie wina świętych, ale bohomazów. Trzeba być Wyspiańskim, aby zedrzeć sobie z oczu łuskę tych narosłych licznemi warstwami bohomazów i zrobić taki — witraż. Napisać taki dramat i namalować taki witraż.



Witraż wszelako nie przekonał publiczności warszawskiej. Jest wprawdzie u nas garść zapaleńców, która wielbi poprostu Wyspiańskiego, ale uznanie nasze ani się równać może z tem uznaniem, jakie on ma w Galicji.

Czemu?

Odpowiedź prosta.

Galicja zna Wyspiańskiego „in optima forma“, ze sceny, z żywego słowa. Warszawa poznaje go z mozolnego czytania. Galicja zna jego język i jego postaci; Warszawa, jak to już zaznaczyłem, nie zna.

Ale prócz tego są powody inne. Umysł ludzki jest ciężki, nie lubi mozołu. Wysilił się na uznanie Mickiewicza, sił mu brakło na należyte ocenienie Słowackiego. Uznał Słowackiego, aż strach go zbiera, że trzeba teraz zgryść Wyspiańskiego, zgryść i przełknąć.

Znam doskonałego mówcę, lekarza, który umie na pamięć całego Kochanowskiego. Gdy mu się wspomni Wyspiańskiego, trzęsie się z oburzenia, nazywa go zbrodniarzem, który zdeprawował nasz język; powiada, że gdyby to od niego zależało, kazałby tego zbrodniarza wyświecić z kraju...

Czemu? Zbrodnia rzekoma Wyspiańskiego polega na tem, że nie chce pisać, jak pisał Kochanowski, że już nie można tak pisać, jak pisał Kochanowski, że język Kochanowskiego jest poprostu ubogim w porównaniu z językiem dzisiejszego przeciętnie ukształconego człowieka.

Znam wielkiego powieściopisarza, który z całej twórczości Wyspiańsklego zapamiętał tylko i urągliwie powtarza: „Teraz panie Włodzimierzu, pomówimy o przymierzu...“ i z tryumfem powtarza ten dwuwiersz, jak kiedyś powtarzano contra Mickiewicz: „Przebóg, cóż to za szkarada, nie odchodzi i nie gada...“

Znam pewną damę, która większą część życia spędziła w Paryżu, po polsku mówi bardzo słabo, wogóle mówi z cudzoziemska; twierdzi, że język Wyspiańskiego jej „nie brzmi...“

Spotykam znawców, którzy zżymają się, że Wyspiański nie pisze jasno, jak Mickiewicz; choć znawcy ci niecałkiem samego Mickiewicza zrozumieli...

Znam wielkich obrońców modernizmu, którzy w swych pracach ani jednem słowem nie wspomnieli o Wyspiańskim, bo im do ich teoryjek nie przypadał...

Ach, modernizm! Czy to dzieła dorabia się do teorji, czy teorje wysnuwa się z dzieł?

Nie było żadnego stylu „renesans“. Gdy się ujrzy schody Michała Anioła na Kapitolu, mówi się: tak budowano w epoce Odrodzenia.

Wyspiański ma swój sposób pisania; pewne cechy łączą go ze współczesnymi; pewne rzeczy czas mu narzucił, pewne rzeczy narzucił on swym czasom. Kiedyś ludzie

będą mówili o jakiemś dziele: tak pisano za czasów Wyspiańskiego.

Z utworów jego bije niesłychane życie, blask, świeżość, wiosna, przyroda. W tej chwili mógłby już pióro złożyć i pozostałby w literaturze naszej jako pierwszorzędna potęga. A on bynajmniej pióra nie składa, tworzy dalej, rośnie, każde dzieło jest czemś nowem, czemś silniejszem od dzieła poprzedniego.

Dla mnie jako czytelnika jest to poprostu wielkie szczęście patrzeć, jak w oczach moich powstaje coś tak wielkiego, patrzeć jak ten „żywy genjusz“ rzuca nam dzieło za dziełem. To jeszcze nie zakrzepło w dawności, jeszcze ciepłe, jak świeża krew, żywe, rozkwitłe, wiosenne, nie przypalone przez skwar lata, ani przywiędłe przez posuchę jesienną. Tak, błogiem jest to poczucie, że się znowu żyje w jakiejś wiośnie poezji.

Napełnia to radością, lepiej się rozumie i odczuwa dzieła współczesnych twórców, jest się bardziej wybaczającym dla słabości i słabostek. Bo serce znajduje wielkie oparcie, bo myśl znajduje swój wyraz, bo umysł ma swój fantastyczny świat.

Kiedy pospolitość „włazi w usta, oczy, uszy“, kiedy „duch się w każdym poniewiera“, poezja Wyspiańskiego jest jak świeży podmuch wiosny, jest jak ożywczy zdrój, strumień źródlany.

> „Wrażenia, wrażenia najszczersze,
> „śpiewnik serdeczny, kantyczki,
> „całość w książce...“



I jeszcze coś.

Jeszcze jest nuta, która znajduje oddźwięk w nas wszystkich. Wyspiański porusza jakąś strunę, która jest wspólną nam wszystkim.

Podejmuje wielką tradycją, najlepszą tradycję a sam jest—całkiem nowy.

Bo to zupełnie inna sprawa, gdy nutę dawności podejmuje człowiek nowy.

On zmodernizuje akord dawny.

Harfa jego wielostrunna. Każde serce polskie znajdzie na niej swoją strunę.

To może najistotniejsza cecha jego genjuszu.

A że go dziś nie całkiem rozumieją? Ach; to drobnostka! Nastanie czas...

Są dzieła, które przejść muszą przez krytykę kilku pokoleń.

A zwłaszcza, gdy się w nich odbywa jakiś „weselny sąd".



Mówią jeszcze o pesymistycznej nucie u Wyspiańskiego. Była epoka, kiedy wołano: „Młodości, podaj mi skrzydła!" I to był majorowy ton. Gdy nam dziś ktoś nareszcie mówi prawdę, gdy nam mówi choćby najstraszniejszą prawdę, czyniąc to w imię przyszłości, czyniąc to celem podźwignięcia nas, prawda ta bynajmniej nas nie straszy, dźwięk jej jest dla nas tak samo tonem majorowym. Tem się też tłomaczy entuzjazm, z którym chwytano ze sceny owe straszne słowa: „Miałeś chamie złoty róg, ostał ci się tylko sznur!"

Bo uświadomienie sobie błędu jest już przez pół poprawą.



Wyspiański, uzbrojony w cały arsenał współczesnego artyzmu, malarz, kolorysta, mimo wszystkich niezwykłości pisarskich, zagadkowych symbolów, bywa nieraz zadziwiająco prosty. Na tę cechę chciałbym zwrócić uwagę tych, którym on się tak ciemnym wydaje, aby zastanowili się czy ta ciemność może być istotnie wyłącznie jego winą

i czy czasem nie jest winą czytelników, którzy żądają, aby się książkę „łatwo czytało“. Tak, żądamy, aby książka była wygodna jak kanapa a autor ma nam jak służący podawać wszystko gotowe, pokrajane, może sam ma wkładać nam do ust widelcem... Porównanie „małe“, ach, bo bo też i czytelnicy są nieraz bardzo „mali“ i dąsają się na autora, gdy zmusza ich imaginację do współpracy. A tych „małych“ czytelników wyhodowali u nas „mali“ pisarze. Otóż owa prostota Wyspiańskiego. Panna Młoda opowiada w „Weselu“ sen swój Poecie. „We złotej ogromnej karocy napotkałam we śnie djabła. Wiezą mnie przez lasy, przez jakiesi murowane miasta, pytam się: „a gdziez mnie biesy wieziecie?—a oni mówią: „do Polski“. — A kaz tyz ta Polska, a kaz ta? pon wiedzą?“ Poeta odpowiada jej: „po całym świecie możesz Polski szukać panno młoda i nigdzie jej nie znajdziesz“. A panna młoda wybrana za żonę przez polskiego poetę, odpowiada: „to może i szukać szkoda“. Lecz słyszy odpowiedź: „a jest jedna mała klatka, o niech tak Jagusia przymknie rękę pod pierś“ — „to zakładka gorseta, zeszyta trochę przyciaśnie“—„a tam puka?“—„i cóz za tako nauka? Serce?“ — „A to Polska właśnie.“

Kropka. Dosyć. Na tem pragnę zakończyć tę rzecz o naszym największym moderniście, Stanisławie Wyspiańskim, rzekomo ciemnym i zawiłym pisarzu, według mnie i według wielu, wielu: żywym genjuszu.





